

Medalik babci Cake

[Slice of Life] [Mystery] [Adventure] [Ulubione Tagi Albericha Ale Ja Nie Jestem
Alberichem Więc Nie Ma Co Się Napalać]
Madeleine (alias Gacinka)

*... bo zamiast próbować wszystko racjonalnie wyjaśniać, czasem lepiej jest zwyczajnie
dać się porwać wyobraźni.*

– Naprawdę muszę tam jechać?

Melasa była pewna, że dostrzegła kłęby pary buchające matce z uszu. Starsza klacz spojrzała na nią takim wzrokiem, że każdy kucyk z odrobiną instynktu samozachowawczego sam podciąłby sobie żyły, by tylko uniknąć serii wymyślnych tortur, którą obiecywało rozeźlone spojrzenie.

– Mówiłam ci już sto razy i więcej powtarzać nie będę: tak, musisz jechać na te przeklęte imieniny. I nie, nie wysadzimy cię na najbliższym zakręcie. I tak, masz przestać marudzić, bo jak nie, to mój róg zaraz znajdzie się w jednym z newralgicznych punktów twojego ciała...

– Pumpkin – warknął ostrzegawczo ojciec, nie podnosząc głowy znad gazety. Melasa tylko wzruszyła ramionami. Zdążyła już przywyknąć do tego, że jej mama jest mocno bezpośrednia, szczerza do bólu i odznacza się dość... niespotykanym poczuciem humoru.

– ... a ja ten punkt sama wybiorę i uwierz mi, będzie bolało – dokończyła niezrażona Pumpkin, na powrót zatapiając się w fotelu.

Przez chwilę jechali w ciszy – słychać było jedynie nieznośne skrzypienie nienaoliwionych kół powozu („Wystarczyłaby odrobina smaru, czy to napraw takie trudne?” – zirytowała się Melasa) oraz sapanie taksówkarza, gdyż teren prowadził akurat stromo w górę.

Po kilku minutach przedłużającego się milczenia klaczka postanowiła spróbować jeszcze raz:

– Gdybym wysiadła teraz, złapałabym jeszcze autobus powrotny...

– MELASO, CÓRKO PUMPKIN CAKE I CARBON DUSTA! – ryknęła mama, a Mel uświadomiła sobie z przerażeniem, że ciasna kabina taksówki wyposażona jest w wyjątkowo niewiele miejsc do schowania się w razie utknięcia w niej z rozwścieczoną bestią. A konkretnie: zero. – NIE WYSIĄDZIESZ Z TEGO CHOLERNEGO POWOZU! Guzik mnie obchodzi, że umówiłaś się z Ivy na kosza i że musisz ćwiczyć codziennie, bo inaczej twoja sportowa kariera legnie w gruzach i mam gdzieś, że nie masz ochoty tam jechać, bo ja jestem twoją matką, a ty moją córką, żyjesz na moim utrzymaniu, gotuję ci obiady i mogę żądać, żebyś jechała z nami w odwiedziny do wujostwa, kiedy tylko najdzie mnie chęć! Prawda, Carbon? – Ojciec jeszcze bardziej zagłębił się w gazecie. – CARBON, POWIEDZ COŚ!

Ogier przerzucił stronę.

– Yhy.

– No – powiedziała mama, której ta reakcja wydała się widocznie w pełni satysfakcjonująca. Przeniosła wzrok z powrotem na córkę. – Poza tym, o ile mnie pamięć nie myli, jeszcze rano cieszyłaś się na ten wyjazd.

Melasa odburknęła coś niewyraźnie i wpatrzyła się w szybę, starając się przełacić swoją złość na bogom ducha winny widok za oknem. Owszem, cieszyła się – bo sądziła, że spotka Lemon i Melon, ulubione kuzynki. Właściwie, bliźniaczki nie były jej kuzynkami, tylko córkami siostry ciotki, słowem – dziesiąta woda po kisielu. Melasa widywała się jednak z nimi dość często na rodzinnych uroczystościach, miały ze sobą styczność od dziecka, a ponieważ w całej sporej rodzinie Cake'ów Lemon i Melon jako jedyne były jej rówieśniczkami, klaczka bardzo się z nimi zżyła. Cieszyła się ogromnie na to spotkanie – do tego stopnia, że była w stanie przełknąć nawet niedoszły trening z przyjaciółką – bo wierzyła, że rozmowa z dziewczynami pozwoli jej przetrwać nudne jak flaki z olejem imieniny ciotki. Niestety, w ostatniej chwili siostra cioci odwołała swój przyjazd, tłumacząc, że dziewczyny się czymś struły i obie rzygają jak koty i to z taką synchronizacją, że gdy jedna kończy, druga zaczyna.

Lemon i Melon zostały więc w domu z głowami w miskach, a Melasa nie znalazła w sobie tyle desperacji, by tuż przed wyjściem rozkwasić sobie łuk brwiowy o framugę (uznała, że jednak za bardzo lubi swoją twarz), więc – nie mając wymówki – została zmuszona do włożenia ładnych butków („Wkładaj te baletki albo ci je gwoździami do kopyt przybiję!”), przylizania grzywy („Tylko spróbuj się poczochnąć, a zgolę cię na łyso”) i ulokowania się bez gadania w taksówce.

Chociaż właściwie... pomyłka. Gadania nikt jej nie zabronił.

– Od kiedy w ogóle ciocia Malina obchodzi imieniny?

Melasa była przekonana, że gdyby rozbiła jajko na czole swojej rodzicielki, po kilku sekundach otrzymałaby idealnie usmażone sadzone.

– Od tego roku. Od tego miesiąca. Od tego dnia. – Na chwilę zapadła cisza. – Poza tym, powinnaś się cieszyć, że spotkasz się z kuzynem.

– Nie cierpię tego małego ADHD-owca – mruknęła Melasa do siebie, niestety, niewystarczająco cicho.

Matka aż zachłysnęła się z oburzenia.

– Carbon, czy ty to słyszałeś? – Rzuciła mężowi przeszywające spojrzenie, które jednak nie przebiło się przez płachtę „Dziennika Hoofington”. Pumpkin zawarczała. – Carbon, mówię do ciebie!

– Yhy – dało się słyszeć z sąsiedniego siedzenia.

Klacz wzniosła oczy ku sufitowi, po czym znów przeniosła wzrok na córkę.

– Hazelnut nie jest ADHD-owcem. To ŻYWE SREBRO – powiedziała dobitnie. – I nie mądrz się, bo jak ci opowiem, jaka TY byłaś w jego wieku, to wyskoczysz z tej karocy bez zatrzymywania się. Ze wstydu.

Melasa podniosła gwałtownie głowę i wpatrzyła się łakomym wzrokiem w drzwi.

– Nawet o tym nie myśl.

Klaczka położyła uszy po sobie i odwróciła do matki bokiem.

– Jak wujek nie słyszy, sama nazywasz Hazelnuta nieznośnym bachorem, hipokrytko – burknęła na tyle głośno, by jej słowa dotarły do uszu mamy.

Efekt był piorunujący – Mel nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że lico matki oblewa się właśnie krwistym rumieńcem.

– Ty beczelna gówniaro!

– PUMPKIN – syknął ostrzegawczo Carbon.

Żona odwróciła się do niego.

– Ty nie słyszysz, jak mi pyskuje? Żmiję na własnej piersi wyhodowałam! Trzeba ją było strącić ze skały, kiedy jeszcze była zbyt mała, by wspiąć się z powrotem!

Carbon z najwyższym spokojem przerzucił stronę w gazecie.

– Dzisiaj śpisz na kanapie.

Melasie nie udało się zatuszować kaszlem nagłego ataku niepohamowanego śmiechu. Pumpkin zawarczała jak rozwścieczony bulterier, założyła nogę na nogę i ścisnęła mocniej torebkę, wyraźnie szukając kogoś, komu mogłaby wypruć flaki. Mel miała niejasne wrażenie, że tylko obecność ojca jest przyczyną, dla której ciągle nie wie, czy wewnątrz ma piękne również w sensie dosłownym.

Nie przejmowała się tym. Cieszyła się, że utarła matce nosa. To ona ją zmusiła do tych głupich odwiedzin, niech teraz cierpi. I bardzo dobrze, że spędzi parę nocy na kanapie. Przynajmniej Melasa wreszcie się wyśpi.

Powóz toczył się powoli po brukowanych uliczkach, co jednoznacznie wskazywało na to, że są już niedaleko rynku. Taksówka pokonała jeszcze kilka zakrętów, dwa skrzyżowania i zatrzymała się przed ogrodzeniem prowadzącym do domu wuja Pounda i ciotki Maliny.

Melasa wysiadła z pojazdu i obrzuciła budynek niechętnym spojrzeniem.

„To będzie najnudniejsze popołudnie w moim życiu” – pomyślała i nie czekając na rodziców, potruchtała do drzwi.

*

– ... tak mnie ta wątroba bolała, że aż musiałam iść z tym do specjalisty, ale wiecie, jak to jest w państwowych placówkach: prędzej bym pogrzeb zorganizowała, niż umówiła się na wizytę! Poszłam więc do tego Fallen Angela, mówię wam, doskonały lekarz! Od razu mi przepisał receptę! A jaki miły! Co tydzień widuję go w świątyni. Ma żonę i trójkę źrebiąt. Proszę, taki zapracowany, a jednak na rodzinę czas znalazł – jednak można! Szkoda tylko, że tak drogo się ceni, ale cóż, za jakość trzeba zapłacić... A jeśli chodzi o tę szczękę, to byłam przedwcześniej u protetyka...

Melasa od piętnastu minut słuchała monologu babci Cake o wszystkich rodzajach dolegliwości, jakie ją dotknęły w ostatnim czasie i modliła się w duchu, by w podanej jej herbacie znajdowała się dosypka arszeniku.

Klaczka przesunęła smętnym wzrokiem po twarzach zebranych przy stole osób. Po lewej stronie siedział wuj Pound, który dyskutował o czymś żarliwie z jej ojcem. Mel nie przysłuchiwała się, ale co jakiś czas dochodziły do niej pojedyncze słowa z rozmowy, takie

jak: „gospodarka”, „kryzys” i „obalić rząd”. Sytuacja z prawej nie prezentowała się wcale lepiej – solenizantka, ciocia Malina, chwaliła się właśnie Pumpkin swoją najnowszą sukienką kupioną specjalnie na tę uroczystość. Mama nie była zbyt zainteresowana białymi grochami i tiulową podszewką (jak można w wieku czterdziestu sześciu lat nosić tiul?!), za to najwyraźniej zafascynował ją rodzaj zapięcia, bo ciągle mamrotała pod nosem coś o zastosowaniu haftek przy kolejnym eksperymencie z tkaninami z włókien syntetycznych.

Melasa zadrżała. Ostatni eksperyment matki pozbawił ich połowy garażu. Klaczka nie miała wątpliwości, że talent mamy jest zaiste specjalny – potrafiła doprowadzić do wybuchu nawet zwykłą kranówkę i to przy minimalnych staraniach. Mel nie miała pojęcia, w jaki sposób ojciec znosi tę ciągłą niepewność – czy żona wróci do domu w jednym kawałku, czy może połowę zostawi na placu boju, wśród szczątków próbek i odłamków drewna łamane przez metalu łamane przez dowolnego innego materiału (w zależności od rodzaju doświadczenia)? Chyba po prostu przez te wszystkie lata przyzwyczał się do tego i jedyne, co go obchodziło, to obiad podany na czas. A smród nadpalonych włosów zawsze można wywietrzyć.

Dziewczyna otrząsnęła się z rozmyślań i jeszcze raz zerknęła na stół. Babcia wciąż wygłaszała swój chorobowy monolog – tym razem na pierwszy plan wyszły problemy z nerkami i wrzody żołądka. Na nią nikt nie zwracał uwagi, więc z braku laku robiła to, co zrobiłby każdy na jej miejscu – usiłowała nie skonać z nudów. Mel, wbrew temu, co głosiła często i uroczyście, bardzo kochała swoją rodzinę – wujek Pound był dziwakiem, profesorem od filozofii. Jego uwagi zwykle były niezrozumiałe, ale mimo to budził sympatię; ciocia Malina stanowiła stricte dekoracyjny element do mało przejmującej się estetyką rodziny Cake’ów... ale piekła wyśmienite torty. Ten, który stał na środku stołu, tuż przed nosem Melasy, pachnący różową masą marcepanową, również zachęcał do jedzenia i, trzeba przyznać, był całkiem ładny, chociaż obsypany jadalnym brokatem i jakimiś małymi, szarawymi perełkami przypominającymi bardziej granulaty nawozowe niż coś potencjalnie zdatnego do jedzenia.

Wreszcie, babcia Cake. Ach, babunia... Melasa kochała swoją babcię. Zresztą – czy można nie kochać osoby tak cieplej i wyrozumialej? Mel co prawda słyszała, że babcia wyrozumiała jest, dziwnym trafem, jedynie dla swoich wnucząt, bo swym dzieciom potrafiła za młodu wprowadzić wojskowy rygor... który skończył się bardzo szybko, wraz z wejściem bliźniaków w wiek nastoletni, kiedy to i jedno, i drugie postanowiło wyrwać się spod jarzma maminego terroru i po prostu po wieczny czas zamknąć uszy na jej jęki, zakazy i kary.

Melasa zaczęła się zastanawiać, czy gdyby ona zrobiła to samo w stosunku do swojej mamy, można by to uznać za kultywowanie rodzinnych tradycji.

Spojrzała jeszcze raz na babcię, która wstała od stołu i dolewała wszystkim herbaty. Śmiała się i sprawiała wrażenie zadowolonej. Melasa cieszyła się, że babcia wreszcie skończyła żałobę po śmierci dziadka. Kilka pierwszych miesięcy po jego odejściu było dla rodziny Cake’ów niczym horror – wszyscy jak jeden mąż wpadli w cug żałobnego nastroju, na czele z babcią, która non stop powtarzała, że nie ma już po co żyć. Na szczęście wujkowi Poundowi udało się ją przekonać, by wyprowadziła się z Ponyville, zostawiając za sobą bolesne wspomnienia, i przeniosła do niego. Melasa musiała przyznać, że pomysł był bardzo dobry – wujostwo miało duży dom, ogród, w którym babcia mogła się oddawać swojej drugiej pasji zaraz po cukiernictwie, no i małego synka, który ciągle potrzebował opieki pod nieobecność zapracowanych rodziców. Hazelnut nie był może najmądrzejszym, najgrzeczniejszym i najbardziej uzdolnionym dzieckiem na świecie, ale jakimś dziwnym

sposobem jemu jedynemu udało się wyciągnąć babcię Cake z depresji. Z tego powodu Melasa była mu wdzięczna...

Klaczka syknęła z bólu, kiedy poczuła, że kula nieokiełznanej energii przebiegła jej po kopycie.

... co nie oznaczało jeszcze, że musiała go lubić.

– Hazelnut, wyjdź spod stołu. Nieładnie się tak chować po kątach – zgała go ciocia Malina, nawet nie zerkając pod mebel. Jej uwaga przeszła bez echa.

Melasa wzruszyła ramionami i wróciła do swego głównego zajęcia od chwili przekroczenia progu – zadręczania się nad szklanką herbaty.

Nagle coś ją ugryzło. Dosłownie.

– NUT! – ryknęła niczym lwica, nurkując pod stół. Po chwili szamotaniny wyciągnęła stamtąd wrywającego się ogierka, trzymając go za kark jak szczenię. Hazelnut zaczął piszczeć jak zwierzątko w potrzasku, co ostatecznie utwierdziło Mel w przekonaniu, że powinno się go zapakować w pudełko i odstawić do schroniska, gdzie jego miejsce.

– Mel, odłóż go! – fuknęła mama, patrząc na wijącego się jak piskorz bratanka. – Jeśli chcesz się z nim pobawić, idźcie, proszę na zewnątrz, bo zaraz coś potłuczecie.

Melasa wypuściła chłopca, który wylądował na podłodze z plaskiem.

– Nie mam zamiaru się z nim bawić – burknęła.

Usiadła obrażona na swoim miejscu.

Prawdopodobnie nie ruszyłaby się stamtąd do końca nudnego jak flaki z olejem przyjęcia, gdyby nie ostry dźwięk dzwonka, który wwiercił jej się w umysł i wywołał ciarki na plecach.

Ciocia Malina poszła otworzyć, a już po chwili z przedpokoju dało się słyszeć radosne okrzyki i coś, co brzmiało jak mlaskające pocałunki.

– Jak się cieszę, że udało ci się wpaść! Już myślałam, że ty też mnie wystawisz, jak moja kochana siostrzyczka!

Do pomieszczenia wkroczyła beżowa klacz w średnim wieku ubrana w wytworny bordowy kapelusz. Obok niej truchtał mały, najwyżej ośmioletni ogier. Chyba był zdenerwowany, bo co chwilę mierzwił grzywę i chwycił się za ucho.

Na widok Hazelnuta ożywił się jednak. Ogierzy skoczyły ku sobie jak kauczukowe piłeczki.

– Hazelnut!

– Liquorice!

Melasa skrzywiła się. Jak można nazwać chłopca Lukrecja?

Spojrzała na matkę ogierka i widząc, z jaką wytwornością ta śle uśmiechy do wszystkich zgromadzonych przy stole i jak bardzo królewskie są jej gesty, kiedy podaje mężczyznom kopytko do pocałowania, uznała, że w sumie się nie dziwi.

Malina odchrząknęła uroczyście i powiedziała do Carbona i Pumpkin:

– Kochani, wy się jeszcze nie znacie. To jest moja serdeczna przyjaciółka, Sensitive. A ten mały dżentelmen zdążył się już przedstawić.

Liquorice właśnie potrącił stół, a jedna ze szklanek zachybotała się i przewróciła, zalewając obrus resztką soku.

„Faktycznie, dżentelmen jak diabli” – pomyślała ironicznie Melasa.

Dorośli przywitali się uprzejmie, przyjaciółka ciotki Maliny zajęła miejsce, po czym wuj Pound rzucił swojej żonie znaczące spojrzenie. Mel zauważyła je kątem oka i od razu zapaliło jej się w głowie światelko, że nie odznacza to nic dobrego.

Jak zwykle intuicja jej nie zawiodła.

– Hazelnut, Liquorice, babcia Cake przygotowała dla was coś specjalnego – powiedziała wesoło ciocia Malina, a dzieciaki jak na komendę przestały wrzeszczeć i ustawiły się przed nią na baczność. – Ponieważ chcemy tu sobie trochę *porozmawiać* w towarzystwie dorosłych – ciocia puściła oczko do wujka, który wyszczerzył radośnie zęby i Melasa wiedziała już, że owa „rozmowa” będzie miała minimum czterdzieści procent alkoholu – mamy dla was niespodziankę. Babcia wpadła na pomysł, żeby ukryć w okolicy pięć czerwonych kokardek... Waszym zadaniem jest je znaleźć i przynieść tutaj przed wieczorem. Jeśli wam się uda, dostaniecie w prezencie coś suuuper.

Hazelnut i Liquorice wciągnęli powietrze z takim impetem, że Melasa była zdziwiona, że nie nadęli się jak balony i nie pękli, przemieniając się w barwne, krwawe confetti.

– Prezeeenty! – pisnął Hazelnut i zaczął skakać wokół krzesła, na którym siedziała ciocia Malina. – A co to za prezenty?

Ciocia uśmiechnęła się zagadkowo.

– Być może gdzieś tutaj schowaliśmy dla was dwie najnowsze gry na konsolę z bohaterem z waszej ulubionej kreskówki.

– „Piraci z Wysp Świętego Alikorna”? Ale super!

Ogierki zaczęły biegać po pomieszczeniu, przekrzykując się nawzajem: „Jestem straszny Siwobrody! Drzyjcie, szczury lądowe!”.

Melasa bardzo dyskretnie palnęła się kopytem w czoło.

Ciocia tymczasem kontynuowała ze śmiechem:

– No, już, już, uspokójcie się. Najpierw musicie znaleźć wszystkie wstążki. Ponieważ jednak są one porozrzucane dość daleko od domu, dostaniecie specjalną listę z podpowiedziami, którą napisał dla was Pound... ale oczywiście nie możecie pójść sami, bo zamartwialibyśmy się, że coś wam się stanie...

Melasa poczuła na sobie czyjś wzrok i strzygąc uszami, uniosła głowę. Ujrzała ciotkę Malinę rzucającą jej znaczące spojrzenie. Baaardzo znaczące.

– O nie – zaprotestowała Mel, do której błyskawicznie dotarło, w co starają się ją wrobić. – Nie będę ich niańką.

Mama uśmiechnęła się diabolicznie.

– Oczywiście, że nie będziesz niańką. Będiesz współtowarzyszką, kompanem i poszukiwaczem przygód. I będziesz się świetnie bawić. A jeśli nie... może się zdarzyć, że

jakaś wyjątkowo złośliwa baba ukarze cię dwumiesięcznym szlabanem na wyjścia ze znajomymi.

Melasa zazgrzytała zębami.

– Nie możesz...

Mama z najwyższym spokojem wysiorbała łyk ze swojej filizanki.

– A właśnie, że mogę.

Klaczka, szukając sojusznika, zwróciła zdesperowane oczy na ojca.

– Tato, tatusiu, tateńku...

– Słuchaj matki, Mel – usłyszała w odpowiedzi. Zaraz po niej z lewej strony stołu, gdzie siedział wujek Pound, dobiegł cichy chichot.

Melasa poczuła się oszukana. A więc to dlatego tak ją ciągnęli na to przyjęcie! Nie mieli co zrobić z dziećmi, więc zorganizowali im zabawę daleko od domu i potrzebna im była opiekunka, żeby smarki wróciły żywe! Może ten rzekomy przyjazd Lemon i Melon też ukartowali!

– To jest szantaż – powiedziała jeszcze, sięgając po ostateczny argument.

– Ciociu, co to szantaż? – zainteresował się Liquorice.

– Szantaż, skarbie, jest wtedy, kiedy Melasa nie wie, jak wielką ma ochotę na zabawę z wami i trzeba jej to delikatnie uświadomić. – Mama mrugnęła do ogierka porozumiewawczo, a Melasę krew nagła zalała.

Pięć minut później stała już przy drzwiach wyjściowych, wściekła jak osa, czekając na kuzyna i jego przyjaciela, którzy właśnie odbierali z kopyt babci pergamin z podpowiedziami. Próby wymigania się od przykrego obowiązku opieki nad dwójką niezdolnych dzieciaków były niczym walka z Hydrą – co jeden łeb ucięła, na jego miejsce wyrastały dwa nowe. Poddała się w końcu, uznając, że rozsądniej będzie pomóc się przez kilka godzin niż narażać się na tak długie niewidzenie się z Ivy. Zresztą, czas do wieczora minie szybko. A przynajmniej zawsze szybko mijał, kiedy Melasa zajmowała się czymś, co ją interesowało... Klaczka kolejny raz zazgrzytała zębami, rzucając w myślach pod adresem własnej matki niewybredne komentarze. Niektóre epitety były tak zmyślne, że aż żałowała, że nie ma pod kopytem długopisu i kartki, żeby je zanotować.

– Zapakowałam wam na drogę ciasto i butelkę soku. – Ciepły głos babci ostudził chwilowo jej mordercze zapędy wobec rodzicielki. – Nie zgubcie się, uważajcie na siebie, słuchajcie Mel... I przynieście wszystkie wstążki.

Ogierki zasalutowały zgodnie i krzycząc wniebogłosy, wybiegły na zewnątrz, objuczone niewielkimi torbami.

Melasa westchnęła tak ciężko, jak tylko potrafiła i z opuszczoną głową skierowała się ku drzwiom.

– Kochanie.

Klaczka odwróciła się. Babcia stała w wąskim przedpokoju ze ścierką w kopycie i uśmiechała się tajemniczo.

– Mam coś dla ciebie. Chodź ze mną do kuchni.

Starsza klacz wykręciła się na pięcie i potruchtała przed siebie, nucąc coś pod nosem. Mel wzruszyła ramionami, pewna, że też dostanie jakiś smakołyk na osłodę, i powlokła się za nią.

Czekała ją niespodzianka. Tym, co babunia wyciągnęła z kieszeni fartucha, nie były cukierki albo lizak, tylko... mały, srebrny medalik na długim łańcuszku.

– Chcę, żebyś go wzięła.

Zawiesiła ozdobę na wyciągniętym kopytku wnuczki.

Mel z zaskoczeniem przypatrywała się niecodziennemu podarunkowi. Medalik był maleńki, okrągły i miał wygrawerowany dość popularny symbol, słońce z wygiętymi promieniami, które przypominało nieco Uroczy Znaczek księżniczki Celestii, chwała jej majestatowi. Ogólnie był nawet ładny, ale... No właśnie. Ale.

– Dziękuję, babciu – powiedziała wreszcie z ociąganiem, starając się, by jej głos wyrażał wdzięczność. – Jest śliczny. Myślę, że ktoś, kto nosi takie rzeczy, na pewno doceniłby jego urodę – podkreśliła środkową część zdania. Sądziła, że miały z babcią na tyle dobry kontakt, że ta wiedziała, co klaczka lubi, a czego nie... i że nie znosi biżuterii. Było jej trochę przykro, że dostała aż tak nietrafiony prezent, ale miała na tyle szacunku do osób starszych, by nie pyskować własnej babci. – Cinnamon na pewno będzie chciała go pożyczyć. Pasowałby do jej koloru sierści... chyba...

– A kto powiedział, że ja ci ten medalik daję?

Melase zatkąło. Spojrzała na babcię z całkowitym niezrozumieniem.

Starsza pani przewróciła oczami.

– Ja ci go, dziecko, tylko wypożyczam. Jest na nim napisane: „Wróć do mnie”.

W pierwszej chwili Mel chciała odwrócić naszyjnik, sprawdzając, czy rzeczywiście, ale na szczęście szybko dotarło do niej, że tylko by się zbłąźniła.

Wciąż jednak nie rozumiała.

– Ale... jak to?

Babcia uśmiechnęła się dobrotliwie.

– Wiem, że zabawa w poszukiwanie skarbów z dwójką siedmiolatków nie jest tym, co nastolatka uważa za udany wieczór – powiedziała, a Melasa poczuła ulgę, że babcia jednak dobrze ją rozumie. – Dlatego właśnie chcę ci wypożyczyć ten medalik. On jest... specjalny. Czarodziejski – babcia puściła do klaczki oczko, a potem roześmiała się na widok jej sceptycznej miny.

– Czaro... czarodziejski?

„No pięknie” – pomyślała Melasa, patrząc na roześmianą babcię z lekkim niepokojem. – „Babunia kompletnie sfiksowała. Iść po matkę, zanim sięgnie po nóż i przerobi mnie na babeczki, czy jednak więzy krwi zwyciężą?”

Babcia przestała się śmiać i rzuciła wnuczce ciepłe spojrzenie.

– Ten medalik ma tajemną moc. Wiem, że mi nie wierzysz, ale mam nadzieję, że się przekonasz... Jeżeli zabawa z Nutem i Liquoricem stanie się tak nudna, że nie do zniesienia, włóż go. Wyobraźnia ma wielką siłę.

Melasa uniosła brwi, starając się pojąć związek między tym całym gadaniem o medaliku i ostatnim zdaniem. Poddąła się wreszcie, stwierdzając w duchu, że po prostu po powrocie pogada z mamą (o ile ta będzie na tyle trzeźwa, by móc mówić) i razem poszukają w sieci adresów dobrych psychiatrów.

Zacisnęła kopyto na naszyjniku i przypatrywała mu się przez chwilę, by wreszcie zrezygnowana spróbować go założyć. Babcia powstrzymała ją.

– Dopiero, kiedy zabawa stanie się nie do zniesienia – przypomniała.

Mel wzruszyła ramionami i z braku lepszego rozwiązania obwiązała sobie łańcuszkiem ucho.

Babcia z uśmiechem odprowadziła ją do drzwi.

– Do zobaczenia za kilka godzin, kochanie – złożyła na jej policzku ciepły, mokry pocałunek. – Na pewno ci się spodoba. Baw się dobrze. Idź już, chłopcy się niecierpliwią.

Melasa wyszła na zalany słońcem ganek witana okrzykami kuzyna, z tajemniczym łańcuszkiem na uchu i mętlikiem w głowie.

*

– Pierwsza wstążka znajduje się na najwyżej... szej gałęzi Zielonego Drzewa Życia. Drzewo jest ogromne i rośnie od ponad trzystu lat... wow, ale stare! To prawie tyle, co wasza babcia! A znajduje się na Skwe... rze Przyjaźni. Jego ko... nary sięgają aż do ziemi i znajduje się bliżej, niż można by pomyśleć... Jakies pomysły?

Liquorice odsunął pergamin od twarzy i spojrzał badawczo na Hazelnutę i Melasę.

Gwoli ścisłości – rozentuzjasmowanego Hazelnutę i poirytowaną Melasę.

Mel westchnęła przeciągle. Czuła się okropnie, musząc uczestniczyć w tej infantylnej zabawie dla małych żrebiąt. Wydawało jej się to zdecydowanie poniżej godności. Dlaczego, ach, dlaczego Lemon i Melon nie przyjechały?! Dlaczego to ona musi opiekować się dziećmi, skoro nawet nie lubi dzieci? Ba, nie cierpi dzieci! Na wszystkich bogów, nie wszyscy lubią spędzać czas z dziećmi, a Melasa nie jest swoją cudowną siostrą Chodzące-Dobro Cinnamon i naprawdę nie ma cierpliwości do tych wszystkich udawanych teatrzyków! Z dwojga złego wolałaby zostać w salonie razem z dorosłymi i przysłuchiwać się ich rozmowom. Przy dobrych wiatrach może udałoby jej się uszczknąć co nieco z kieliszka dobrodusznego wujaszka, a i ciocia Malina pewnie nie poskapiłaby jej ponczu... Oczywiście po tym, jak by się już trochę wstawiła, bo na trzeźwo zdecydowanie optowała za zakazem rozpijania młodzieży.

Co gorsza, wszystko wskazywało na to, że jednak zejdzie im do wieczora. Listę przejął, co prawda, Liquorice, ale Mel zdążyła rzucić na nią okiem i w kilka chwil odkryła wszystkie miejsca, w których ukryte są wstążki. No, może prawie wszystkie... Dwa były blisko, jednego nie udało jej się zidentyfikować, bo wujaszek trochę zaszalał i użył jakiejś dziwnej metafory czy innej mastektomii, a do dwóch pozostałych trzeba było iść minimum pół godziny szybkim marszem w jedną stronę. Na dodatek obie lokacje znajdowały się dokładnie w przeciwnych kierunkach... Rodzinka zagwarantowała jej niebywałą rozrywkę, nie ma co!

Melasa stała pod domem, przyglądając się chłopcom, którzy z zapartym tchem po raz któryś czytali wskazówkę. Znaczący – jeden z nich czytał, bo Hazelnut jeszcze nie potrafił. Zresztą, Liquorice też nie był w płynnym czytaniu jakimś mistrzem, co było kolejną rzeczą, od której Melasę trafiał szlag. Jeżeli każdą odpowiedź Rice miał zamiar czytać w takim tempie, zdążą się tu zestarzeć... A młody był zbyt dumny, by po prostu oddać jej pergamin, argumentując to tym, że „pani Cake dała go jemu, więc on jest kapitanem i tylko kapitan może dowodzić i czytać instrukcje”.

Melasy nie zdziwił specjalnie fakt, że trzykrotnie się zaciął, zanim udało mu się poprawnie wydukać ostatnie słowo.

Klaczka opadła smętnie na zad, całą siłą woli powstrzymując się przed wtrąceniem do rozmowy swoich trzech groszy. Odpowiedzi wydawały jej się takie banalne... ale zanim opuściła towarzystwo, mama rzuciła jej groźne spojrzenie i powiedziała, że jeżeli przyjdzie jej do głowy zepsuć chłopcom zabawę z powodu własnych dziecinnych pretensji, to... Nie dokończyła, więc Melasa była przekonana, że druga część zdania zawiera tak wielką okropność, że nie warto się dla niej narażać.

– Już wiem! – wykrzyknął nagle Hazelnut, a jego przenikliwy głos wwiercił się w głowę Mel, wywołując na jej twarzy grymas. – Chodzi o ten dąb, który rośnie po drugiej stronie naszego domu! Jest baaardzo stary, jego gałęzie sięgają ziemi i znajduje się bliżej, niż się wydaje!

Melasa tylko przewróciła oczami. „Brawo, Sherlocku” – pomyślała ironicznie.

Rice po usłyszeniu tych słów zaczął podskakiwać jak kauczukowa piłka.

– Chodźmy tam, kamraci! – zawołał i pierwszy zerwał się do biegu.

– Tak jest, kapitanie! – zaszalutował Nut i podążył jego śladem.

Melasa wlokła się na szarym końcu kolumny.

Kiedy wreszcie stanęła pod drzewem i zadarła głowę, prawie natychmiast rzuciła jej się w oczy czerwona plamka migająca wśród gałęzi. „No, postarali się” – pomyślała, szacując w myślach, jak wysoko zawieszono wstążkę. – „Pewnie oddelegowali do tego zadania wuja Pounda. Wujaszek ma niezłe poczucie humoru, jeśli sądzi, że dwa siedmioletnie ziemskie ogiery dadzą radę tam wleźć i zleźć, nie rozkwaszając się między jedną i drugą czynnością o grunt... Ach, jakże chciałabym mieć skrzydła! Życie byłoby wtedy takie proste!”

Melasie stanął przed oczami obraz jej przyjaciółki, Ivy – jednej z najlepszych lotniczek w jej szkole. Klaczka zazdrościła pegazom możliwości latania, nie było dnia, kiedy nie pragnęła wzbić się w powietrze... To, że urodziła się bez skrzydeł, było takie niesprawiedliwe! Mogła chociaż odziedziczyć róg po mamie, czytała gdzieś, że są zaklęcia na chwilowe latanie... Ale niestety prawda była taka, że geny kucyków ziemskich były dominujące i nic nie dało się na to poradzić.

Dlatego właśnie Mel dołożyła wszelkich starań, by przynajmniej wśród jej znajomych znajdowały się pegazy. Chociaż nie mogła latać sama, przyjaciele nie szczędzili jej cudownych chwil w powietrzu, kiedy we dwóch albo trzech brali ją na krótkie „przechadzki” wśród chmur... a przynajmniej nigdy nie odmawiali, kiedy żalosne błagania Mel przekraczały dwadzieścia próśb na minutę.

Klaczka, uświadomiwszy sobie, że znów odpłynęła, potrząsnęła głową i wpatrzyła się w drzewo.

Musiała przyznać, że faktycznie było wielkie. Ogromne, rozłożyste konary, grube jak udo dorosłego kucyka, wiły się – zgodnie z treścią podpowiedzi – po zielonej trawie, ryjąc grunt. W niektórych miejscach nie było wiadomo, gdzie kończą się wystające ponad powierzchnię ziemi korzenie, a gdzie zaczynają się obsypane listowiem gałęzie – drzewo łączyło świat podziemny i naziemny, tworząc samo z siebie wielki krąg życia.

A przynajmniej tak by to określił wujaszek Pound.

– Widzę wstążkę! – wykrzyknął Rice, machając energicznie w kierunku kawałka materiału, który Mel zauważyła już minutę temu. – Wdrapię się po nią! Trzymaj listę, majtku!

Rzucił pergamin w kierunku Melasy, a ta chwyciła go ze zręcznością w zęby, dopiero po chwili uświadamiając sobie, co powiedział ogierek.

– Niejesztemszadnymmajtkiem! – warknęła gniewnie przez zaciśnięte zęby.

Młody nie przejął się jej wrogim nastawieniem. Zrzucił z siebie juki i pogalopował w kierunku drzewa. Stał przez moment w bezruchu, jakby planując trasę wspinaczki, po czym objął kopytkami najniższą gałąź i z zapalem zaczął się na nią wczołgiwać.

– Tylko uważaj! – wykrzyknął z dołu Nut. – Tam było napisane, że drzewo jest potężne i będzie się bronić, jeśli ktoś zechce odebrać mu jego własność!

Melasa wzniosła oczy ku niebu. Każda wskazówka opatrzona była na wpół mroczną, na wpół śmieszną przestrogą – miej oczy otwarte, uważaj na potwory, przestrzegaj niszczycielskich praw natury i podobne bzdety. Klaczka wiedziała, że ma to podnieść wartość zabawy, ale przecież nie musiało jej się to podobać. Wyobraziła sobie wujaszka, poważnego profesora, pochylającego się nad pergaminem i wymyślającego te wszystkie durne teksty i zrobiło jej się słabo z zażenowania.

Spojrzała na Rice’a, uznawszy, że powinna wiedzieć, kiedy młody nagle postanowi spaść i złamać sobie wszystkie członki.

Musiała przyznać, że w łażeniu po drzewach Rice jest całkiem niezły. Dodatkowe punkty dostał za fakt posiadania pseudo-arystokratycznej matki uważającej się za baronową z Prance, która zapewne nie pochwalała tego rodzaju zabaw. Tym razem na pewno zrobiła wyjątek, żeby móc się w spokoju urznąć w trupa w towarzystwie najlepszej przyjaciółki i jej towarzyskiej rodzinki.

„Jakie to arystokratyczne” – parsknęła krótko Mel.

Nie mając nic innego do roboty, usiadła na trawie i po prostu patrzyła, jak sylwetka Rice’a robi się coraz mniejsza między konarami.

Szmer listowia usypiał ją...

„Bogowie, zaraz umrę z nudów” – przeszło jej przez myśl. Tak bardzo nie chciała tu być i mieć oko na tych dwóch nicponi, że zachciało jej się płakać. A mogła spędzić takie miłe i owocne popołudnie z Ivy...

Wyciągnęła kopytko i podrapała się leniwie za uchem.

I wtedy poczuła łańcuszek.

Przez tych kilka chwil zdążyła zapomnieć, że ma go na sobie. W sumie nie było to dziwne, podobno mózgi kucyków mają właściwość zapominania o rzeczach nieprzyjemnych, a przecież odkrycie, że własna babcia postradała rozum, do najprzyjemniejszych nie należy... Naprawdę musiała się tym zająć. Jak tylko znajdą te wszystkie zakichane wstążki,

porozmawia z mamą. A może lepiej z wujkiem – była większa szansa, że zrozumie jej obawy. No i z tego, co się orientowała, babcia Cake zawsze miała lepsze kontakty z synem.

Mel zdjęła łańcuszek z ucha i przez chwilę bawiła się nim, turlając go na wyciągniętym kopytku. Włóż go, jeśli zabawa stanie się nie do zniesienia... „Oj, babciu, ona była nie do zniesienia, zanim się nawet zaczęła” – westchnęła klaczka. Wyobraźnia ma wielką siłę... Rany, jak można wymyślić coś równie...

Melasa podrapała się po głowie, po czym – zupełnie niezgodnie ze swoimi przekonaniem na temat normalności tego, co robi – założyła naszyjnik.

Poczekala kilka sekund z zamkniętymi oczami, mając nadzieję, że gdy je otworzy, zdarzy się coś niespotykanego.

Zaczęła liczyć w myślach od dziesięciu do zera... Nie wytrzymała. Na piątce podniosła powieki.

Wszystko wyglądało normalnie.

Melasa wydała z siebie pełen zawodu jęk.

Nie, żeby sądziła, że *naprawdę* coś się zmieni... przecież to wierutna bzdura... medalik ma moc, a wyobraźnia siłę, yhy, ciekawe, z której strony... babcia po prostu coś sobie wmówiła... a Melasa dała się nabrać... znaczy, oczywiście, że się nie dała, bo nikt o zdrowych zmysłach nie pomyślałby, że jakiś tam medalik jest czarodziej...

Najniższa gałąź poruszyła się.

Melasa usiadła gwałtownie na trawie. Serce waliło jej jak młotem.

Przełknęła ślinę i spojrzała jeszcze raz. Uważniej. Wszystko wyglądało zwyczajnie. Wiatr wiał lekko, liście szumiały... Rice się wspinał i był coraz bliżej wstążki... Wszystko wskazywało na to, że Melasie się to tylko...

Jedna z wyższych gałęzi uniosła się i wyciągnęła długie, drewniane ramię w kierunku nic niepokojącego Rice'a.

Mel zerwała się na nogi, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Zamrugala kilkakrotnie, ugryzła się w przednią nogę, żeby mieć pewność, że to nie sen (zabolało!), po czym spojrzała jeszcze raz. Drzewo naprawdę się poruszało. Poruszało się.

TO. DRZEWO. SIĘ. RUSZAŁO.

Klaczka wydała się z siebie dźwięk stanowiący mieszankę okrzyku zachwytu i pomruku niedowierzania. To... nienormalne. Niemożliwe. Abstrakcyjne. Co tu się w ogóle dzieje?!

„Cinn nie uwierzy, jak jej o tym opowiem... I Ivy też nie uwierzy! Albo zostawię sobie tę historię na sobotnie ognisko u Black Boarda... Wszystkim opadną szczęki! To niesamowite, że można mieć taką jazdę bez narkotyków!”

Stała i patrzyła jak urzeczona na wijący się konar. Dopiero po dwóch minutach dotarło do niej, że gałąź porusza się coraz szybciej, w miarę jak Rice dociera do tasiemki. Gdy ogierek po nią sięgał, gałąź musnęła jego kopytko.

– Rice! – wykrzyknęła spanikowana Melasa, podbiegając pod drzewo. – Uważaj! Za tobą jest... – przez moment zawahała się, bo uświadomiła sobie, że „mordercza gałąź” brzmi jakoś tak... mało poważnie. Widząc jednak, że niebezpieczeństwo zbliża się coraz bardziej, stłumiła wstyd. – Dąb chce cię zaatakować!

Jej policzki zalał krwisty rumieniec, nim te słowa opuściły jej usta. Rice spojrział na nią z góry, a kuzyn gapił się z otwartą buzią... Melasa aż przełknęła ślinę, widząc taką reakcję. Dla pewności zerknęła jeszcze raz na drzewo... gałąź wciąż tam była! Ruszała się! Nic jej się nie wydawało!

– Uciekaj, Rice! – wrzasnął nagle Nut, a Melasa poczuła ulgę, że nie tylko ona widzi to, co widzi. – Drzewo się gniewa, bo próbujesz odebrać mu wstążkę! Musisz zejść! Jak nie zejdziesz w... em... pół minuty, to stracisz punkty życia!

Mel zamrużyła zaskoczona. Stracisz punkty? Tak jak... w grach? O czym, do stu tysięcy srebrnych gwiazd Księżycowej Pani, ten mały gówniarz mówi?

– Drzewo mnie atakuje! – odkrzyknął Rice, chwytając wstążkę. – Jest tuż za mną! Chce mi zabrać trofeum!

Chłopcy wrzeszczeli jak opętani, najwyraźniej doskonale się bawiąc, a złowieszczy konar zaczął stopniowo oplatać się wokół pęciny Rice’a...

Z pustką w głowie i przerażeniem w oczach Melasa zrobiła to, co podpowiadał jej instynkt – rzuciła się na dąb, kilkoma susami przeskoczyła po niższych gałęziach i chwyciła w zęby tę, która zbliżała się do ogierka.

– Złaź!!! – ryknęła, próbując utrzymać wyrywający się konar. Rice przestraszył się jej wrzasku i ześlizgnął się w dół, depcząc ją po grzbiecie. Tymczasem gałąź zaczęła się wić w jej ustach... potrząsnęła nią jak szmacianą lalką... w pewnej chwili Mel niemal usłyszała, jak drzewo... święci bogowie... piszczy?

Wypuściła gałąź i plując korą, okrążyła pień, balansując na czubkach kopyt. Konar wystrzelił w jej stronę. Zrobiła unik. Z bijącym sercem wychyliła się ze swej kryjówki po drugiej stronie pnia. „Niech ten koszmar się wreszcie skończy!”

Nagle poczuła, że gałąź, na której stoi, porusza się gwałtownie. Straciła równowagę i wyjąc w niebogłosy, spadła na trawę.

Leżąc na plecach, patrzyła, jak minimum dziesięć krwiożerczych gałęzi powoli zmierza w jej stronę, celując ostrymi zakończeniami w oczy...

Przeturlała się gwałtownie, robiąc coś na kształt półobrotu... I wtedy spadł jej łańcuszek.

Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, czekając na cios. Oddychała ciężko, trzęsąc się jak w febrze. Przecież to miała być tylko głupia, niewinna zabawa... tylko zabawa...

– Mel?

Melasa otworzyła oczy.

Koło niej stali Hazelnut i Liquorice, obaj uśmiechnięci od ucha do ucha. Ten ostatni dzierżył dumnie kawałek czerwonego materiału.

– Zdobyłem ją! – wykrzyknął i przybił kopytko z Nutem. – Jeszcze tylko cztery i otrzymamy nagrodę! Nasz trud się opłaci! Kamraci, do boju! – Zerknął na oszołomioną, zwiniętą w kłębek Melasę. – A ty, majtku, za to, że tak dzielnie broniłaś swego kapitana, otrzymujesz rangę... sierżanta!

Klaczka podniosła się ostrożnie do pozycji siedzącej, nie mając pojęcia, co się właśnie wydarzyło.

Spojrzała z przestachem za siebie. Dąb szumiał cicho listowiem i zielenił się radośnie, jak przystało na obyczajne drzewo w pełni lata. Stał spokojnie na miejscu i jak na złość, nie wykazywał chęci do poruszenia się choćby o milimetr... a wcześniej aż rwał się do przerobienia Melasy na marmoladę.

Dziewczyna wstała i zrobiła krok w bok, po czym nagle podniosła kopytko, czując, że na coś nadepnęła... Podniosła srebrny łańcuszek, którego zsunięcia się nawet nie zarejestrowała... Spojrzała jeszcze raz na drzewo... I nagle wszystko poskładało jej się w idealną całość.

„Ten medalik rozbudza wyobraźnię!” – wrzasnęła w myślach. Waga odkrycia niemal zmroziła krew w jej żyłach. Melasa zaczęła trząść się z ekscytacji. – „A więc to o to chodziło babci! Wyobraźnia ma wielką siłę! No jasne! To *naprawdę* jest czarodziejski naszyjnik!”

Roześmiała się wesoło, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia młodszych kolegów. Wtem śmiech zamarł jej na ustach.

„Skąd babcia ma coś takiego?”

– Musimy zdobyć jeszcze cztery wstążki! – powiedział Rice, a Nut poparł go, kiwając zapamiętale głową. – Nie ma czasu do stracenia! Kolejny przystanek: Wnętrze Tartaru!

Melasa spojrzała rozbieranym wzrokiem na oba ogierki. Wszystko wskazywało na to, że oni nie zauważyli nic dziwnego... A może właśnie zauważyli? Może po prostu ich wyobraźnia jest na tyle dobra, że nie musieli wspomagać się tajemniczą biżuterią?

Klaczka przełknęła ślinę, pojawiając się, dlaczego dostała od babci tak niecodzienny prezent.

„Koniecznie muszę to wytłumaczyć. Takie rzeczy... nie są normalne.”

Zerknęła na kuzyna i jego przyjaciela, którzy biegli już w kierunku furtki, a potem skierowała wzrok na trzymany w kopytku naszyjnik. Medalik lśnił delikatnym blaskiem, jakby puszczał do niej oko... albo rzucał wyzwanie.

Melasa owinęła sobie łańcuszek na ucho i ruszyła za podopiecznymi.

„Wyjaśnię to... ale później. Jakby co mam wymówkę... Babcia sama kazała mi się dobrze bawić!”

*

Do następnej lokacji doszli bardzo szybko. Melasa nieco nakierowała ogierki przy rozwiązywaniu zagadki: „Wnętrzem Tartaru” wujaszek nazwał niską budę niewiadomego pochodzenia i przeznaczenia, która znajdowała się poza ogrodzeniem na skrawku ziemi niczyjej, nie należąc ani do Cake’ów, ani do ich sąsiadów. Zbita była z blaszanych płyt i ponieważ w upalne dni nagrzewała się do kilkudziesięciu stopni, nie używano jej prawie wcale – chyba że przez okolicznych meneli, którzy, według słów wujka, chowali się w niej, by mieć gdzie w spokoju i bez dźwięku policyjnych gwizdków wypić piwo. To jednak podobno zdarzało się dość rzadko, bo miejscowość była oazą spokoju... poza tym, w taki dzień jak dzisiaj, nikt z własnej woli nie pchałby się do wnętrza tego rozbuchanego pieca.

Nikt, poza dwójką siedmioletnich ogierków i piętnastolatką, sztuk jeden, którzy z wypiekami na twarzy sprawdzali jeszcze raz, czy wskazówki na pewno zaprowadziły ich w odpowiednie miejsce.

– Myślę, że to tutaj – ogłosiła uroczyście Melasa, ocierając pot z czoła. Dzień był naprawdę upalny, a od szopy było takie gorąco, że momentalnie zachciało jej się pić. Sięgnęła do juk Rice'a i wyciągnęła stamtąd butlę z sokiem wiśniowym. Wzięła kilka łyków i odetchnęła z lubością. – W środku nie ma zbyt wiele rzeczy, jedynie jakieś starocie, więc powinniśmy się szybko z tym uporać. – Podała sok towarzyszom.

Gdy wszyscy troje ugasili pragnienie, nadeszła pora, by wyzbyć się lęku i wkroczyć prosto w ostatni krąg piekła... Melasa zachichotała cicho, zdziwiona własnymi myślami. To było nie do uwierzenia, ale... cała ta zabawa naprawdę zaczynała jej się podobać! Czuła się jak jakiś... Indiana Pones. Albo nieustraszony, nieustępliwy, nieśmiertelny i jeszcze kilka innych przymiotników zaczynających się od nie- Kłak Norris!

Uśmiechnęła się do siebie i dała młodym znać, że mogą iść przodem. Dobiegli do drzwi szopy truchtem i otwarli je z niemałym trudem.

Ze środka buchnął taki żar, że aż przytkało im dech.

Melasa odwróciła głowę, ku powietrzu i odetchnęła z ulgą. Czuła się jak na zmianie w hucie w czasie największej pracy.

Otrząsnęła się i próbując się nie ugotować, wkroczyła do środka.

Rzeczywiście nie było tam nic ciekawego. Kawałki blachy, rozwalone meble, jakieś nikomu niepotrzebne deski, pojedyncze sztuki złomu, a to wszystko razem – spiętrzone w każdym kącie w wielkie kupy ustrojstwa.

Nut i Rice szybko zabrali się do plądrowania pomieszczenia.

Melasa ruszyła za nimi, raz po raz sięgając do twarzy, by wytrzeć płynący jej po policzkach pot.

Straciła ze stosu zardzewiałego żelastwa długi pręt, który z brzękiem wylądował jej pod nogami.

„Nudy” – pomyślała.

Uśmiechnęła się do siebie chytrze.

Ogierki działały chaotycznie i nic nie wskazywało na to, że prędko znajdą wstążkę.

A może by tak dodać do poszukiwań nieco... ognia?

Melasa starannie odwinęła łańcuszek z ucha, przecierając go przy okazji o futro, bo zdążyła go nieco spocić. Zanim nałożyła go sobie na szyję, zawahała się przez sekundę... ale sekunda szybko minęła.

Gdy naszyjnik zawisnął na jej szyi, ze wszystkich stron buchnęły płomienie.

Mel wrzasnęła, odskakując. W pomieszczeniu zrobiło się jeszcze goręcej. Ogień lizał ściany szopy, zamykając ich w zatrzważającym, śmiercionośnym kręgu. Pręt, który straciła klaczka, momentalnie nabrał koloru dojrzalej pomarańczy.

Rozejrzała się spanikowana, szukając wzrokiem dzieci. Obaj przetrząsali kupę złomu w jednym z kątów budy, kompletnie nie zwracając uwagi na to, że wokół na ich oczach tworzy się – dosłownie! – piekło.

„Nie na ich oczach” – poprawiła się Melasa w myślach. – „Tylko ja to widzę. Ten ogień przecież nie istnieje.”

Dla pewności położyła kopyto na rozgrzanym pręcie. Jej pęcinę przeszył nagły ból, a w oczach wezbrały łzy. Mel z trwogą spojrzała na swoją nogę – miejsce, którym dotknęła metalu, zrobiło się czerwone i pulsowało tępo, raz po raz wyrrywając jej z gardła cienki pisk.

Okrąg ognia zawężał się coraz bardziej. Melasa poczuła, że nie może oddychać, że gotuje się od środka. Ostatkiem sił, starając się panować nad głosem, krzyknęła do chłopców:

– Płomienie!

Nut i Rice błyskawicznie podchwycili jej słowa.

– Ogień!

– Pali się!

– Uciekajmy!

– Szybko!

Klaczka rzuciła się ku ogierkom i na klęczkach zaczęła rozkopywać kupkę, w której prawdopodobnie schowana była wstążka. Te przedmioty znajdowały się na tyle daleko od ognia, że nie zdążyły się jeszcze nagrzać do nieznosnie wysokiej temperatury – Melasa wiedziała jednak, że muszą się spieszyć. W każdej chwili grozi im śmierć...

Desperackim ruchem zanurzyła kopyto w stercie śmieci aż do samej podłogi... wciągnęła głośno powietrze. Poczuła ją! Jest wstążka!

Wyszarpała nogę, na której owinięta była czerwona tasiemka. Mel cofnęła się i wydała z siebie tryumfalny okrzyk, ale nieszczęśliwie wypuściła kokardkę, która opadła tak blisko płomieni, że zajęła się ogniem.

– Nie!

Melasa, nie myśląc trzeźwo, jednym susem dopadła do niej i przydeptała ją kilkoma zdecydowanymi ruchami. Chwyciła nadwątloną tasiemkę w zęby i ignorując przytłaczający smród zwęglonego materiału, rzuciła stanowczo do chłopców:

– Uciekać!

Nutowi i Rice’owi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Zerwali się do biegu i w jednej chwili zniknęli po drugiej stronie ognistego kręgu.

Melasa ruszyła cwałem za nimi, ale zatrzymała się w ostatniej chwili.

Przed nią znajdowała się ściana żywego ognia!

Klaczka wiedziała, że to wszystko to tylko jej wyobraźnia... Ale ten żar... dym unoszący się z nadpalonej tasiemki... i jeszcze ból, prawdziwy ból rozsadzający jej kopyto! A to wszystko takie realne...

W sumie Melasa zawsze była ciekawa, co czują te wszystkie kucyki, które w ramach protestu albo dla zmanifestowania własnych poglądów podpalają się na głównych placach miast... ale uznała, że chyba jednak woli nie wiedzieć.

Zacisnęła powieki i jednym ruchem zerwała sobie z szyi naszyjnik, a potem wbiegła prosto w ogień.

... potknęła się i upadła na trawę, dysząc ciężko.

Z jej ust zwisała smętnie nieco obśliniona tasiemka. Klaczka wypluła ją z obrzydzeniem. Była cała, tylko trochę mokra. Nie widniały na niej absolutnie żadne ślady bliskiego spotkania z ogniem. Zero dymu, zero spalonych włókien. W sumie można się było tego spodziewać, ale to piekło było takie rzeczywiste...

Dla porządku zrobiła w powietrzu kilka kółek nogą. Ból minął, nie było mowy o oparzeniu.

W pierwszym odruchu Melasa chciała założyć naszyjnik jeszcze raz, chcąc sprawdzić, czy znów ujrzy płomienie... ale ostatecznie zrezygnowała, uznając, że widziała dostatecznie dużo.

Wstała i otrzepała futro.

– To co? – uśmiechnęła się radośnie do chłopców, którzy aż drżeli z podniecenia. – Chyba pora na następny przystanek?

*

Przemierzali zaciszne uliczki i parkowe ścieżki, kierując się ku peryferyjnym terenom miasta. Melasa domyśliła się, że „Labirynt W Gąszczu Żółtych Drobin” (klaczka nie mogła się powstrzymać, by nie przewrócić znacząco oczami nad tą nazwą) oznacza ni mniej, ni więcej spore pole kukurydzy, po którym od dzieciństwa razem z Cinnamon biegały w każdy wakacyjny weekend spędzany u wujostwa, w poszukiwaniu najśłodszych kolb.

Wartość takiego spartańskiego posiłku znacząco zwiększał fakt, że pole należało do wójta Taltown, czyli było dobrze utrzymane, odpowiednio nawożone, doskonale pielęgnowane, kukurydza była słodsza niż gdzie indziej, a do tego wszystkiego dochodził podniecający dreszczyk emocji, że wójt, znany ze swej cholerycznej natury, napuści na nie w czasie tych niewinnych szabrow dwa tuziny swych najbardziej zajadłych chartów.

– Tutaj pisze... – zaczął Rice, a Melasa poprawiła go odruchowo: „jest napisane”, po czym natychmiast skrzywiła się z niesmakiem, bo u nich w domu wkurzającym nawykiem poprawiania innych odznaczała się raczej Cinnamon – tutaj pisze – powtórzył z naciskiem Rice, puszczając uwagę Mel koło uszu – że trzecia wstążka ukryta jest w samym środku Labiryntu. A podpowiedź brzmi... – odkaslnął, żeby wystąpienie wydało się bardziej profesjonalne, ale efekt prędko popsuł brak płynności w czytaniu: – „Uwa... żaj na to, co kry... je się wśród zielonych ście... żek”. Zielonych ścieżek – powtórzył jeszcze raz, złożył pergamin na czworo i schował go do juk.

Melasa znów szła na końcu pochodu. Hazelnut też bardzo często chodził na kukurydziane szabry i doskonale kojarzył okoliczne pola. Zresztą, ani na chwilę nie spuściła oczu z tej dwójki... Chyba jednak całkiem nieźle radziła sobie z opieką nad dziećmi.

„Wypluj to, Mel!” – zganiła się w myślach. – „Jeszcze ci się to kiedyś wyrwie przy matce i już nigdy się nie uwolnisz od tych urwipolciów!”

Zresztą, prawda była taka, że to nie ona doskonale radziła sobie z zadaniem... To medalik, który dostała od babci Cake, nastawił ją pozytywnie do zabawy i czas po prostu

płynął jej tak przyjemnie, że prawie zapomniła o tym, iż została oszukana, perfidnie wykorzystana i wynajęta do roli niańki (w dodatku nieodpłatnie!).

Ten medalik...

Kopyto Melasy automatycznie podążyło do prawego ucha.

Czym jest ten przedmiot? Co to za magia, na bogów? Może został przeklęty? W sumie, w ich świecie istniała magia, czasami bywała bardzo potężna... Te wszystkie opowieści o sześciu dzielnych klaczach z jakiejś podrzędnej pipidowy, które siłą swojej przyjaźni pokonywały każde zło, jakie dotknęło Equestrię na przestrzeni lat... Klaczka prychnęła. Ta, magia przyjaźni. Wierutna bzdura. Może i Twilight Sparkle, Element Magii, była teraz w Equestrii trzecią księżniczką, ale uczyła ją sama Celestia, to chyba normalne, że skoro władczyni chciała z niej zrobić swoją następczynię, to po prostu to zrobiła i nie ma o czym gadać... A o magicznych przedmiotach w sumie tylko słyszała. Mieszkała w Hoofington od urodzenia i jeszcze nigdy, przenigdy w jej kopyta nie dostał się ani jeden zaczarowany artefakt. Babcia Cake, co prawda, opowiadała często historię o jakiejś... em, Trixie? – farbowanej szarlatance, magiczce od siedmiu boleści, co to nabyła po okazyjnej cenie coś, co się nazywało Amulet Alikorna i niewyobrażalnie zwiększało magiczny potencjał. No i ta Trixie owinęła się tym Amuletem jak etolą z norek i przyszła terroryzować Ponyville. Tak, jakby nie mogła od razu uderzyć na Canterlot... Ale nieważne. Cudowne powierniczki Elementów Harmonii nakłoniły ją jakoś do zdjęcia artefaktu i wykopały ją z miasta. Babcia powiedziała, że od tamtej pory czarodziejka już nie wróciła... ale zawsze dodawała, że może jeszcze jej wnuczki miną ją na ulicy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. W końcu niezbadane są wyroki boskie... decyzja należy do tych, co siedzą w górze i w pocie czoła piszą scenariusz serialu zwanego życiem.

„Matko, o czym ja myślę” – Melasa aż palnęła się w czoło. Ten dzień był zdecydowanie zbyt dziwny, by jeszcze bardziej go roztrząsać. Po prostu znajdą resztę tasiemek... wrócą do domu... i zapyta babci, o co chodzi z tym całym naszyjnikiem. Skąd go ma, po co go trzyma, jakim cudem dowiedziała się, że ma takie a nie inne właściwości, dlaczego jest na nim coś, co wygląda jak Uroczy Znaczek Pani Dnia, czy można go wykorzystać również przy oglądaniu porno...

No dobra, o to ostatnie nie zapyta. Zresztą, i tak nie ogląda porno. Pewnie, że nie ogląda! Klacze nie oglądają porno. To ogłupiające i strasznie naciągane. Znaczy, tak słyszała, bo przecież nie ogląda.

– Jesteśmy na miejscu!

Melasa, zanurzona we własnych myślach, nie zdążyła się zatrzymać i dobiła do zadu swojego kuzyna, niemal zwalając go z nóg. Przeprosiła, ale młody i tak fuknął na nią ze złością i odsunął się na bezpieczną odległość.

Przed nimi rozciągało się bajecznie zielone pole kukurydzy.

Liquorice usiadł na trawie i rozpostarł przed sobą pergamin, drugim kopytem ocierając pot z czoła, bo w czasie ich wędrówki powietrze z rozgrzanego i suchego zrobiło się parne i ciężkie. Wszystko wskazywało na to, że może złapać ich jakiś deszcz, ale Mel była pewna, że sążnista burza z piorunami im nie grozi – według wujka Pounda od czasu podwyżek w lokalnej Fabryce Pogody nad Tailtown ani razu nie przeszedł porządny monsun. Klaczka prychnęła – te pegazy mają czasem pomysły! Używać piorunów w ramach protestu przeciwko niskim płacom! Dość durne, ale jakże spektakularne!

Ogierek podrapał się po brodzie z zamyśleniem i podniósł wzrok na swoich towarzyszy.

– Skąd mamy wiedzieć, gdzie jest centrum pola? – zapytał, a w jego głosie pobrzmiwał zawód. – To pole jest strasznie duże. Jak znajdziemy wstążkę?

Melasa chciała powiedzieć, że pole nie jest AŻ TAK duże – gdy stanęło się na jednym końcu, z powodzeniem można było dostrzec kolegę, którego zostawiło się po drugiej stronie i nawet dałoby się z nim swobodnie porozumiewać... zaraz. Kolega po drugiej stronie?

Wyprężyła kopytko, jakby była na lekcji.

– Tak, Mel? – Liquorice niechętnie udzielił jej głosu.

– Proponuję, byście obaj ustawili się przy przeciwnych krańcach pola, a następnie przysuwali się do siebie krok po kroku. Miejsce, w którym się spotkacie, będzie znajdowało się w jednej drugiej długości pola. Stamtąd szybko dojdziemy do centrum.

Hazelnut zmarszczył brwi, wyraźnie nie radząc sobie z przetworzeniem powyższej instrukcji.

Melasa była na tyle uprzejma, że nie zdzieliła tępego kuzyna po głowie, komentując ostro: „Ty debilu”. Poczowała dumę, że potrafi wykazać się aż taką kurtuazją.

Wstała, ciągnąc za sobą dwójkę żrebaków.

– Ty – wskazała na Rice’a – idziesz tam. Ty – potrząsnęła Nutem – tam. Macie iść w równym tempie i spotkać się na środku. Czy to jasne?

Ogierki spojrzały po sobie, potem przeniosły wzrok na Melasę, a na samym końcu przystawiły kopytka do głów, wykrzykując jednocześnie: „Tak jest!”.

Klaczka odetchnęła z ulgą, kiedy chłopcy rozbiegli się wreszcie, każdy w swoją stronę. Już po chwili w promieniu co najmniej kilku kilometrów dało się słyszeć ich liczenie: „Jeden! Dwa! Trzy!” – w rytm którego posuwali się ku sobie.

Melasa patrzyła przez moment na ich wyczyny, po czym uznała, że zanim jej podopieczni dotrą wreszcie do tego magicznego punktu, z którego mieli wyruszyć następnie ku centrum pola, może się trochę... zabawić.

Spojrzała na kukurydzę łakomym wzrokiem i bezwiednie trąciła się w prawe ucho. Medalik zabrzączał cichutko.

Jakie tajemnice kryje w sobie to niewinne, łaskotane wiatrem pole?

Dla pewności jeszcze raz zerknęła na poczynania chłopców, po czym, nie mogąc się dłużej powstrzymać, bezszelestnie przemknęła się między najbliższymi kłosami, odwinęła z ucha łańcuszek i założyła go sobie na szyję.

Wiatr przestał wiać. Niebo pociemniało. Ptaki umilkły. Zrobiło się... cicho.

Melasa przygryzła wargi i rozejrzała się. To nie wyglądało już tak... hm, zabawnie. Co prawda, poprzednim razem ogień w rozgrzanej szopie też nie był zabawny... nie mówiąc nawet o drzewie, w którym nagle obudziły się krwiożercze instynkty... ale to było coś innego. Coś... przytłaczającego. Melasa zadrżała, usiłując opanować nagłą falę zaniepokojenia, które wlało jej się w duszę lepką, śliską strużką.

Przełknęła ślinę i odetchnęła głęboko. Poza tym dziwnym, lekko schizofrenicznym klimatem niewiele się zmieniło. Właściwie – nic. Kłosa kukurydzy wyglądały tak samo, jak wcześniej – były jedynie nieruchome i jakieś takie... wyblakłe. Ale to przecież jeszcze nic

straszego. Widziała podobne zabiegi w tylu horrorach klasy B, że nie robiło to już na niej wrażenia. No, może odrobinę – wszak w przypadku horrorów od okropnych wydarzeń i złowrogich miejsc oddzielał ją kinowy ekran, a tutaj miała to wszystko na wyciągnięcie kopyta.

W sumie trochę się zawiodła. Po dotychczasowych wydarzeniach miała nadzieję na coś więcej. Podpowiedzi wujka mówią o labiryncie... a Melasa cały czas miała przed oczami pole kukurydzy. Niepokojące i zastygłe, ale ciągle pole kukurydzy.

Dziewczyna westchnęła i zrobiła krok w tył, żeby wycofać się z powrotem do chłopców.

W jednej chwili kukurydziane kłosa wystrzeliły w górę, łącząc się ze sobą w wysokie, ciasno splecione ściany ogromnego, upiornego labiryntu.

Melasa wciągnęła głośno powietrze. A więc jednak! Na początku nie była pewna, czy jest bardziej podekscytowana czy zdenerwowana. Tak bardzo chciała, żeby wydarzyło się coś niezwykłego i tak się właśnie stało! Pole zamieniło się w labirynt! Mroczny labirynt, między ścieżkami którego przemykają się straszne, cieniste...

Wrzasnęła, gdy coś otarło się o jej nogę.

Skoczyła przed siebie, gnana paniką. Minęła kilka zakrętów, dając się prowadzić przez szaro-zielony gąszcz. Najpierw w lewo, potem w prawo, prosto i jeszcze raz prosto... A może jednak w lewo?

Zatrzymała się dopiero po kilku minutach katorzniczego biegu. Serce waliło jej jak młotem. Prędko uspokoiła oddech i z lekkim przestraszeniem spojrzała za siebie.

Nagle zaczęła się śmiać.

„Ale super!” – wykrzyknęła w myślach, samej sobie przybijając piątkę. – „To jest najlepszy weekend w moim życiu! Na żadnym horrorze nie bawiłam się tak dobrze, jak tutaj! Ivy oko zbieleje, jak jej to wszystko opowiem!”

Melasa oczywiście zdawała sobie sprawę, że przyjaciółka prędzej odeśle ją do psychiatry niż uwierzy w to, że magiczny medalik babci Cake na całe popołudnie przeniósł ją w niezwykły świat wyobraźni („Celestio, jak to brzmi!” – Melasa splunęła z obrzydzeniem), ale zawsze mogła zostawić tę relację na imprezę plenerową ze znajomymi i opowiedzieć ją w ramach idealnej historii z dreszczykiem.

Chichocząc do siebie, potruchtała z powrotem, szukając drogi do wyjścia z labiryntu.

Krążyła wśród strzelistych ścian kilkanaście minut, zanim doszło do niej z całą stanowczością, że się zgubiła.

Rozejrzała się niepewnie na boki. Była przekonana, że skręciła prawidłowo. Pamiętała przecież, którądy biegła... Najpierw w lewo, a potem dwa razy prosto... albo raz prosto, a za drugim razem w lewo... W każdym razie, to chyba nie jest normalne, żeby KAŻDA droga, którą chce się iść, prowadziła do ślepego zaułku?

Powietrze zrobiło się nagle wyjątkowo chłodne, a Melasę ogarnęło nieprzyjemne uczucie, że jeśli zaraz się stamtąd nie wydostanie, gorzko tego pożałuje.

„Spokojnie, Mel” – pocieszyła się w myślach. – „To przez medalik. Wystarczy, że go zdejmiesz i cały ten koszmar pryśnie. To się dzieje wyłącznie w twojej głowie. W głowie... Tak, właśnie tam.”

Podniesiona na duchu, uznawszy, że ma dość wrażeń, położyła kopytko na medaliku, by zdjąć go z szyi.

Zza zakrętu wyskoczył ciemny kształt i jednym susem dopadł do niej, przygniatając ją do ziemi.

Chciała wrzasnąć, ale była zbyt przerażona. Czarne łapy istoty momentalnie zacisnęły się na jej karku. Próbowала je strącić, ale były niematerialne, mroczne, jakby ulepione z mgły. Zebrało jej się na wymioty. Każde uderzenie serca czuła w gardle. W gardle, przez które nie mogła nabrać powietrza, bo dusiło ją monstrum z najstraszniejszych koszmarów!

Zaczęła się panicznie szarpać. Zrzuciła z siebie potwora, zerwała się na równe nogi i pognąła przed siebie na oślep, nie patrząc nawet, w którym kierunku zmierza. Na zakręcie upadła, objając sobie boleśnie bok. Podniosła się z piskiem, gdy zobaczyła, że jej śladem podąża potworne monstrum przypominające obłok czarnej pary.

Biegła, raz po raz rzucając przez ramię przerażone spojrzenie. Za każdym razem, gdy przystawała, by ściągnąć z siebie medalik, potwór drastycznie zmniejszał dystans między jej szyją i swoimi lepkimi, mroźnymi łapskami. Gnała coraz szybciej, próbując zgubić pościg... zaczynało jej brakować tchu... pot lał się strumieniami po grzbiecie...

Nagle dobiecie do ściany wyparło jej z płuc całe powietrze.

Z trudem podniosła się na nogi, starając się opanować zawroty głowy. Zacisnęła mocno powieki, chcąc przegnać przed oczu migotliwe błyski rozmazujące jej obraz.

Spojrzała jeszcze raz i poczuła, że jej serce zamiera.

Ślepy zaułek.

Zza pleców usłyszała warczenie.

Kolejne wydarzenia potoczyły się w ułamku sekundy.

Istota dopadła do niej. Owinęła się czarną wstęgą wokół jej piersi. Zakryła oczy. Wepchnęła iluzoryczną łapę do gardła, pozbawiając ją tchu w zupełnie nieiluzoryczny sposób.

A potem Melasie ostatkiem sił, zupełnym przypadkiem, niemal cudem, udało się zdjąć z szyi medalik.

Klaczka leżała zwinięta w kłębek wśród zielonych, szumiących delikatnie, prześwietlonych słońcem kłosów kukurydzy, drżąc na całym ciele i starając się opanować płacz.

Nie miała pojęcia, ile tak trwała na ciepłej ziemi w pozycji embrionalnej. W pewnej chwili po prostu wstała i na galaretowatych nogach poczłapała ku wyjściu z gąszczu kłosów.

Wyszła z labiryntu, a gorące promienie otuliły jej głowę i grzbiet przyjemnym blaskiem.

– Melasa! Gdzieś ty była? My już dawno znaleźliśmy wstążkę! – Przez zasłonę łez trofeum, które powiewało w kopytku Nuta, przybrało postać rozmazanej, krwistej plamy.

*

– Most Nad Rzeką Spokoju to akurat proste – powiedział Nut, po raz kolejny tego dnia z dumą prezentując zebrane kokardki. – Daleko za moim domem jest las, w którym babcia Cake zbiera grzyby na pierogi, a za tym lasem jest taka rzeczka i nad tą rzeczka jest kładka. To na pewno tam!

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał z powątpiewaniem Liquorice. – Nie widzisz, że chodzi o most? Most, a nie kładkę!

– Przecież most i kładka to to samo – zaperzył się Hazelnut.

– Oczywiście, że nie! – odpowiedział Rice, stanowczo za wysoko zadzierając przy tym nosa. – Kładka jest mała, a most jest wieceelki! I most ma po bokach takie barierki do trzymania!

– Kładka też może mieć barierki!

– Gdyby miała barierki, nie byłaby kładką, tylko mostem!

– Ale ten most, do którego idziemy, nie ma barierek!

– Więc jest kładką, a nie mostem!

Chłopcy kłócili się w najlepsze, tworząc idealną definicję słów „most” i „kładka”, a Melasa, zgodnie z tradycją, wlekła się na szarym końcu, usiłując zapanować nad skolatanymi nerwami.

To, co ją spotkało w labiryncie, zdecydowanie nie powinno było się wydarzyć. Nie takiej zabawy oczekiwała... Przecież ten stwór... To NIE BYŁO śmieszne! On... chciał ją rozszarpać. Autentycznie chciał ją zabić. I ona... ona to czuła. W sobie (jego zamiary) i na sobie (jego łapska). Melasa miewała koszmary, ale nigdy wcześniej żaden nie był aż tak... realny. Zdarzało się, że od czasu do czasu budziła się zlna potem, być może nawet nie mogła się uspokoić albo ponownie zasnąć, przytłoczona ciężarem jakiegoś wyjątkowo paskudnego snu...

Klaczka potrząsnęła głową. Po pierwsze: TO nie był sen. W sumie nie potrafiła znaleźć odpowiedniego określenia, by tę sytuację nazwać. Czary? Wizja? Złudzenie? Prychnęła głośno. Jakie złudzenie! Strach, który przewiercał jej trzewia na wylot i te łapska wpychające się do gardła... to miało być złudzenie? Wyjątkowo mało złudne to złudzenie!

Melasa nawet nie była pewna, czy ostatnia myśl przejawiała jakiegokolwiek powinowactwo z sensem i logiką. W rodzinie Cake'ów to nie ona, lecz Cinnamon była chodzącym słownikiem.

Dziewczyna zatrzymała się i dotknęła prawego ucha, na którym kolejny już tego dnia raz błyszczał migotliwie srebrny, podarowany przez babcię łańcuszek.

Wyobraźnia ma wielką siłę... Cóż. Wszystko wskazuje na to, że babcia zaiste miała rację. Siłę ma wielką... ale nie zawsze wychodzi to kucykowi na zdrowie. Co to, to nie.

Melasa otrząsnęła się i przyspieszyła kroku, by dogonić swoich małych, ciągle kłócących się w najlepsze podopiecznych.

Jeżeli źle użyta wyobraźnia może doprowadzić do tego, co spotkało ją w labiryncie... to ona chyba nie chce, by jej własna miała siłę większą, niż jej umysł jest w stanie unieść.

Gdy po kilkudziesięciu minutach przyjemnego, choć znów okraszonego mokrym czołem spaceru, doszli wreszcie nad rzeczka i stanęli na kładce, do której, po drugiej stronie,

oczywiście doczepiona była czerwona wstążka – Melasa postanowiła, że już nigdy, przenigdy więcej nie założy tego naszyjnika.

Rice, kolejny raz ogłaszając siebie kapitanem wyprawy, pokonał szybko odcinek łączący oba brzegi rzeki i uniósł wstążkę z wyrazem dumy na pyszczku.

– Niegroźne nam wysokie fale, niegroźny gniew wód! – zawołał, nieświadomie parafrazując ostrzeżenie, które wujek Pound umieścił przy tej części wyprawy.

„Woda to najgroźniejszy z żywiołów. W jednej chwili z subtelnej kochanki (Melasa w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że wujek NAPRAWDĘ użył tego słowa w zabawie przygotowanej dla siedmiolatków, ale po tym, jak ogierki zasypały ją masą pytań o znaczenie tego wyrazu, szybko pojęła, że to prawdopodobnie zostało ukartowane przez jej matkę, żeby męczyła się jeszcze bardziej) zmienia się w najczarniejszą z otchłani. Nie rozniewaj rzeki!”.

Melase zaciekawiła ta odpowiedź i w sumie przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić, co się stanie, jeśli włoży medalik... ale przypomniała sobie znowu dramatyczną sytuację z kukurydzianym monstrem i porzuciła ten zamiar. Gdy razem z rozentuzjasmowanymi, przerzucającymi się okrzykami bojowymi chłopcami człapała z powrotem w kierunku miasta, drapała się co jakiś czas za uchem, ale bynajmniej nie dlatego, że zastanawiała się, czy na pewno dobrze zrobiła, rezygnując. Po prostu... swędziało ją. Bardzo ją swędziało.

Znajdowali się w centrum miasteczka, dziesięć minut drogi od domu, gdy ogólna duchota w końcu przemieniła się w pojedyncze krople deszczu, a następnie – w srogą ulewę.

– Hej! Dzieci! – Drzwi do jednego z domków jednorodzinnych otworzyły się i Melasa zobaczyła machającą do nich klacz w średnim wieku. – Chodźcie prędko, bo przemoczy was do suchej nitki!

– Pani Woody! – wykrzyknął Hazelnut i pognął w kierunku otwartych drzwi, ciągnąc za sobą Rice’a. Melasa nie zdążyła nawet pisnąć, nie mówiąc o odmowie gościny u zupełnie obcej kobiety. Wzruszyła ramionami i pocwałowała za chłopcami – skoro Nut ją znał, to chyba nie było problemu, prawda? Zresztą, dostała prikaz, żeby się tymi dwoma huncwotami opiekować, a czy istnieje lepsza opieka niż niedopuszczenie do przemarznięcia od deszczu?

Przestąpiła przez próg i otrząsnęła się z wody, zanim w jej mózgu wykrystalizowała się myśl, że to niegrzecznie. Na szczęście pani Woody okazała się pocziwą sąsiadką i chyba jej to nie przeszkadzało.

– Chodźcie, dzieci, ogrzejecie się trochę. Przez ten deszcz zrobiło się chłodno... Spokojnie, zaraz minie, oglądałam prognozę – to mają być przelotne opady, a nie jakaś straszna burza z piorunami. Może chcecie coś do picia? Och, po co pytam, zaraz wam coś przyniosę. Hazelnut na pewno z przyjemnością napije się mleka. Prawda, Nut?

– No pewnie, pani Woody! – zakrzyknął z entuzjazmem ogierek, bez skrępowania uwalając się na kanapie w salonie. Widocznie bywał tutaj wiele razy. – Dziękuję!

– Też chcę mleka! Albo Coli, ale bardziej mleka! – zażądał natychmiast Rice, dołączając do przyjaciela skaczącego po kanapie jak po trampolinie.

Pani Woody roześmiała się perliście.

– A ty, skarbie? – zwróciła się na koniec do Melasy. Klaczka dopiero za drugim razem zrozumiała pytanie – do tej pory patrzyła jak zahipnotyzowana na spływające deszczem szyby.

– Ymm... Herbaty. Jeśli to nie problem.

– Żaden, kochanie. Zawsze z przyjemnością ugoszczę syna pana profesora.

Melasa uśmiechnęła się pod nosem. No jasne. W tak małym miasteczku jak Taitown posiadanie tytułu profesora musiało od razu daną osobę mocno windować w górę na społecznej drabinie. Jej wuja, pocziwego, trochę dupowatego, nierozgarniętego wujaszka Pounda szanowało się za to, że był „panem z uniwersytetu”. Tak naprawdę wujcio wykładał filozofię, czyli najmniej przydatny przedmiot w historii przedmiotów, ale nie zmieniało to faktu, że lokalna ludność uważała go za osobę oświeconą i rezerwową.

„W sumie mu się należy. Spoko koleś z niego” – pomyślała Melasa, odwracając z powrotem ku oknu.

Strugi wody spływające po szklanej powierzchni działały na nią uspokajająco. Mogła przyglądać się kroplom tańczącym w tym dziwacznym, dzikim tańcu i nie myśleć zupełnie o przygodach, które ją dziś spotkały.

Przygodach...

Melasa ostrożnie odwinęła sobie łańcuszek z ucha. Spojrzała na niego badawczo, jakby chcąc przewiercić go wzrokiem.

– Co ty w sobie skrywasz? – zapytała go bezgłośnie i przez krótką, niedorzeczną chwilę naprawdę jej się wydawało, że medalik ma zamiar odpowiedzieć. Uśmiechnęła się do siebie, kręcąc z dezaprobatą głową nad własną ułańską fantazją. „Ułańska fantazja” – prawie parsknęła śmiechem, gdy uświadomiła sobie, co właśnie pomyślała. Ułańską fantazję to może miała przed tym wszystkim... teraz jej fantazja była wielkości galaktyki. Co najmniej.

Zerknęła przelotnie na drzwi prowadzące do drugiego pomieszczenia, gdzie chłopcy, jak gdyby nigdy nic, skakali wesoło po nie swojej kanapie, a potem przeniosła spojrzenie na wejście do kuchni, gdzie z kolei nucąca pod nosem pani Woody wyciągała z kredensu szklanki.

Przygryzła wargi i przycisnęła łańcuszek do piersi, czując, że dłużej nie wytrzyma.

Zżerała ją ciekawość, po prostu. Jeden „przystanek” sobie odpuściła, bo ciągle trzymała ją strach po panicznej gonitwie w labiryncie... oczywiście, że nie chciała przeżywać czegoś takiego po raz drugi... to była jedna z najokropniejszych rzeczy, jakie spotkały Melasę w jej krótkim jak dotąd życiu... ale przecież nie ma pewności, że coś podobnego zdarzy się drugi raz. Poza tym, co może być strasznego w mieszkaniu sympatycznej pani Woody?

Melasa wzruszyła ramionami, gdy umysł podsunął jej ostateczny argument, że łańcuszek pewnie i tak wcale nie zadziała, bo babcia mówiła, żeby używała go jedynie w zabawie.

... skoro nie zadziała, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go włożyć.

Wciągnęła głęboko powietrze i odrzucając wszelkie pozostałe, kłębiące się w niej wątpliwości, wsunęła głowę w srebrny okrąg.

Spojrzała na okno i... zamarła.

Przed jej oczami rozgrywał się najpiękniejszy spektakl, jaki kiedykolwiek miała okazję zobaczyć.

To, co przed chwilą było zaledwie jednostajną, nudną ulewą, przemieniło się w... burzę. Wielką, potężną, nieokiełznaną... Melasa przełknęła ślinę. Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Nigdy nie widziała czegoś tak... wspaniałego.

Deszcz ciągle tłukł o szybę, spływając strugami po jej powierzchni i tworząc na niej cudowną, srebrną otulinę. Na zewnątrz drzewa gięły się pod wpływem wiatru, a ich obraz rozmazywał się Melasie przed oczami, załamany i przekształcany przez tysiące wirujących w powietrzu, maleńkich zwierciadeł. Kłaczka patrzyła jak urzeczona na tę zapierającą dech w piersiach impresję malowaną na żywo przez matkę naturę. Przymrużyła oczy i wyobraziła sobie, że jest na zewnątrz, na tym wietrze, wśród drzew, ulic i miejskich latarni sprawiających wrażenie, że ktoś strząsnął kleksy farby na białe płótno świata... Niemal czuła deszcz siekający ją po twarzy. To wszystko było takie... rzeczywiste.

Błysnęło. Melasa aż krzyknęła, oczarowana. W jednej chwili nieboskłon przecięła świetlna sieć błyskawic. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe... złote nitki piorunów rozbłysły ponownie, spływając gładko na ziemię niczym pajęczne włókna.

A potem... zabrzmiał grzmot.

Melasa zadrżała.

To było takie... potężne.

Nigdy nie czuła czegoś podobnego. Miała wrażenie, że każdy kolejny piorun, każdy kolejny grzmot wtłacza w nią jakąś dziwną, tajemniczą energię, której nie знаła i która była niezwykle... przyjemna. Wyszczrzyła zęby. Przyjemna! Następny piorun. Dreszcz przeszedł jej po grzbiecie. Następny grzmot. Roześmiała się radośnie. Patrzyła na czarno-granatowe niebo rozświetlane zygzakami błyskawic i miała ochotę tańczyć. „Dmij, wietrze!” – zawyla w myślach, każdą cząstką ciała chłonąc potęgę przyrody. Przyszedł jej do głowy taki jeden cytat, coś o przywoływaniu psów wojny i jego pojawienie się w jej umyśle niezwykle ją rozbawiło, bo wydawał się nieodpowiedni, a jednocześnie tak bardzo na miejscu... Nawet nie pamiętała, skąd go zna...

I następny grzmot przeszedł po mieście dudniącą falą. Melasa pisnęła z zachwyty. Nigdy nie bała się burzy, ale też nigdy jej nie hołubiła, a teraz... czuła się silna. Czuła się nieustępliwa. Czuła się... gromowładna.

Pani niebios!

Parsknęła radośnie, ocierając łzy, które napłynęły jej do oczu. Bogowie, śmiała się do burzy, do piorunów... Żle z nią, źle. „Melaso, wychodzi na to, że jesteś nie tylko gromowładna, ale też... szalona. Jak Menada... Jak Menada! Hahaha!”¹

– Mel?

Paranoicznym ruchem zdjęła z szyi medalik. Odwróciła się gwałtownie od okna, czując, jak na jej policzki wpęła krwisty rumieniec. Miała wrażenie, że przyłapano ją na czymś... niestosownym.

Pani Woody stała przed nią ze szklanką herbaty i uśmiechała się dobrotliwie. Nic nie wskazywało na to, że zauważyła coś niepokojącego w zachowaniu kłaczki.

„Czy ten śmiech, to... szaleństwo... czy one też były tylko w mojej wyobraźni?” – zastanowiła się Melasa. – „Zupełnie jak ta burza?”

¹ Z pozdrowieniami dla pewnego niezwykle sympatycznego potwora, tyrana i despoty.

No właśnie, burza!

Klaczka zerknęła ukradkiem przez ramię.

Za oknem kałuże powoli obsychały, a z rozrzedzających się chmur kapąły ostatnie krople deszczu. Na niebie szybko znowu zaczęła niepodzielnie królować gorąca tarcza słońca, zapowiadając wszem i wobec, że drobny opad bynajmniej nie jest w stanie zakończyć morderczego upału.

– Na co się tak patrzyłaś, Mel? – zapytał z zainteresowaniem Nut, który pojawił się obok niej znikąd. W kopytkach trzymał kubek z mlekiem, z którego zdążył już sporo wypić, sądząc po dorodnym białym wąsie pod nosem.

Pani Woody matczynym ruchem skrajem fartuszka starła młodzikowi ślad z twarzy, a następnie wepchnęła herbatę w kopytka Melasy.

– Za chwilę się wypogodzi – powiedziała dobrodusznie. – Chodźcie z napojami do salonu. Usiądziecie przed kominkiem i zaraz znowu będziecie mogli wyjść na dwór.

– Więc na co patrzyłaś? – nie odpuścił kuzyn, kiedy znaleźli się już na kanapie w salonie. Melasa, mimo że nie chciało jej się pić, podniosła do ust szklankę, by kupić sobie nieco czasu.

– Jak deszcz pada – odparła wreszcie zgodnie z prawdą, jednocześnie mając świadomość, jak bardzo ta lakoniczna odpowiedź jest niepełna.

Nut skrzywił się znad krawędzi kubka.

– A bo to jest coś ciekawego w deszczu?

Melasa uśmiechnęła się do siebie. Żebyś wiedział, Nut, że jest. Żebyś wiedział.

Rozparła się wygodnie na kanapie i wbiła wzrok w wygasły kominek.

Nagle coś ją tknęło. Ostatnia wstążka... chyba wiedziała, gdzie może być!

– Rice, możesz pokazać listę z podpowiedziami?

Ogierek nie odpowiedział, zajęty swoim mlekiem, więc Melasa sama sięgnęła po jego juki i wyciągnęła z nich pergaminowy zwój.

„W tym miejscu pali się ogień, który nigdy nie powinien zgasnąć.”

Spojrzała jeszcze raz na kominek i uśmiechnęła się.

– Kamraci – zaczęła oficjalnym tonem, odkładając szklankę z herbatą na stół i wpychając zwój z powrotem do torby. – Nadeszła chwila ostatecznego rozwiązania. Niniejszym oznajmiam, że wszystko stało się jasne. Zbierajcie się szybko i ruszamy w drogę. Ostatni przystanek: dom!

*

Wciąż było gorąco, ale nad miasteczkiem powoli zapadał zmierzch.

Melasa szła, już tradycyjnie, kilka kroków za Hazelnutem i Liquoricem, zastanawiając się nad tym wszystkim jeszcze raz. Łańcuszek zabrzęczał cichutko, kiedy gwałtownie potrząsnęła głową.

To, co wyprawiało się w tym mieście, tego dnia, tuż pod jej nosem, było po prostu nie do uwierzenia.

Ten medalik naprawdę był magiczny. Krył w sobie wielką moc, za sprawą której różne zwyczajne rzeczy nabierały – jak za dotknięciem alikornijskiego rogu – zupełnie nowego kolorytu. Melasa przypominała sobie, jak jeszcze parę lat temu bawiła się z przyjaciółmi na podwórku, udając, w zależności od nastroju, pirata lub żołnierza. Wtedy była uzbrojona jedynie w kawałek badyła i kilka garści drobnych kamyków, które jednak dziwnym zbiegiem okoliczności idealnie udawały ostrą szablę lub ręczne granaty. Z drugiej strony, przecież zawsze wiedziała, że to, co trzyma w kopytkach, jest tylko elementem zabawy, a nie prawdziwą bronią... Zdawała sobie z tego sprawę w wieku lat sześciu, ośmiu, jedenastu... Na każdym etapie swojego życia. A teraz, dzięki temu medalikowi, fantazje nagle stały się rzeczywistością – równie materialną i cielesną, co jej podskakujący na brukowanej ścieżce, nadaktywny kuzyn.

Na początku Melasa myślała, że ten naszyjnik jest przeklęty. Miała prawo tak sądzić już po przerażającej przygodzie z drzewem, nie mówiąc nawet o tajemniczych stworach z kukurydzy, psia ich mać. Potem jednak jak grom z jasnego nieba spadła na nią zapierająca dech w piersiach, monumentalna wizja burzy i klaczka nie miała już pewności, czy to na pewno jest klątwa. To słowo kojarzyło się przecież z czymś złym, a medalik nie czynił zła... on jedynie uaktywniał wyobraźnię. A że wyobraźnia czasem podsuwała obrazy, których nikt o zdrowych zmysłach nie chce oglądać...

Szła dalej, kopiąc po drodze kamyk. Chłopcy wyrwali się naprzód, dostrzegłszy pod jednym z budynków bure kocię. Zwierzak przyglądał się im z wyraźną niechęcią i co jakiś czas intensywnie się drapał. Mel była święcie przekonana, że ma pchły, które przeskoczą na Nuta i Rice'a, gdy ci tylko się do niego zbliżą, ale w sumie nie obchodziło jej to. I tak nie posłuchaliby jej próśb... poza tym wujostwo i rodzice zażyczyli sobie, by dzieci wróciły do domu całe i zdrowe. O robakach nic nie wspominali.

– Mel, patrz, jaki ładny kotek! Kici-kici... Zabierzemy go do domu, Mel? Weźmy go ze sobą!

– Widziałeś, jakie ma pazury, Nut? Prawie jak tygrys. Wielki, włochaty tygrys z Zebriki!

– O tak! Groźny tygrys! Rozerwie nas na strzępy! Rarr, rarr, rarr!

Chłopcy ze śmiechem dopadli do kota, obłapiając go z każdej możliwej strony i zasypując gradem uścisków i głasków. Kot, jak na śmietnikowego, na wpół dzikiego obszarpańca, całkiem nieźle znosił powyższe zabiegi.

Melasa patrzyła to na kota, to na kuzyna i jego przyjaciela i zastanawiała się, czy oni naprawdę, choć przez jedną krótką chwilę, dostrzegli w tym pchlarzu tygrysa.

Przystanęła, rozmyślając nad czymś głęboko.

„Dlaczego właściwie drzewo się poruszało, a blaszana buda stanęła w płomieniach? Przecież wyobraźnia mogła podsunąć mi setki innych wizji, dlaczego więc medalik zdecydował się wzmocnić akurat te?”

Znała odpowiedź, nim postawiła w myślach znak zapytania. Sugestia. Wskazówki i zabawne ostrzeżenia wuja Pounda, spisane na pergaminie, zasugerowały jej, co ma zobaczyć. Gniew drzewa, wnętrza piekieł, istoty w labiryncie... Przy kładce było coś o tym,

że woda to straszny i groźny żywioł, więc zapewne medalik przeniósłby ją prosto nad huczący wodospad albo jeszcze lepiej – umieścił w samym środku szalejącego sztormu...

No a burza? Mel zmarszczyła brwi. O burzy nie było wzmianki, przecież wujek Pound nie mógł przewidzieć, że będzie padać. Czyżby ona jako jedyna wyszła sama z siebie?

Klaczka wiedziała, że nie. Pani Woody mówiła coś o burzy z piorunami, kiedy pytała całą trójkę, czego się napiją. Czyli to też zostało Melasie zasugerowane.

Dziewczyna była w kropce. Naprawdę nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Z jednej strony cieszyła się, że dane jej było przeżyć coś tak... niecodziennego. Z drugiej, była zaniepokojona faktem, że jej wyobraźnia jest zbyt słaba, by wymyślić coś sama, nie posiłkując się podpowiedziami z zewnątrz. Z trzeciej, wciąż dręczyły ją wątpliwości, skąd babunia ma takie cudencko, a z czwartej...

Z czwartej, po prostu MUSI porozmawiać z babcią. Koniecznie i poważnie.

Otrząsnęła się z rozważań i spojrzała w niebo. Nie było jeszcze ciemno, ale nieubłagane zapadał wieczór. Przed nimi rozciągała się droga, na końcu której rysował się wyraźnie duży dom wujka Pounda i cioci Maliny.

Melasa zdjęła z ucha łańcuszek i przyjrzała się medalikowi z wygrawerowanym słońcem, mając niejasne, dołujące przeczucie, że jeśli teraz odda go babci, ten pryśnie jak mydlana bańka i nie zobaczy go już nigdy więcej. A tak bardzo chciała wiedzieć, co podesunie jej wyobraźnia, gdy nie zostanie wcześniej splamiona niczymi wskazówkami!

Westchnęła, przygryzła wargi i z kołącą się jej z tyłu głowy myślą, że robi coś nieodpowiedniego, założyła ozdobę, jak jej się zdawało, po raz ostatni.

– AAAAAAAA!!!

Rozdzierający wrzask Rice'a zmroził jej krew w żyłach. Działając całkowicie instynktownie, skoczyła ku bawiącym się kilkanaście metrów dalej chłopcom.

Wyhamowała gwałtownie, patrząc z przerażeniem na to, co pojawiło jej się nagle przed oczami. Jej twarz momentalnie zrobiła się kredowobiała.

Zamiast małego, burego kotka na środku drogi stał ogromny, zwalisty, trójbarwny tygrys. Jego ogon drgał miarowo, a z pyska kapła ślina, gdy powoli przeżuwał to, co trzymał w zębach. A trzymał...

– Moja noga! Boli! Aaaaa!

Melasa spojrzała na zwiniętego w kłębek Rice'a i poczuła, że za sekundę zwróci obiad.

To było dla niej za wiele. Nie czekając na to, co się stanie, na ruch ze strony tygrysa, na kolejne agonizujące wrzaski chłopca, Mel chwyciła za łańcuszek i pociągnęła gwałtownie.

Bury, wychudzony kot prychnął, gdy do jego uszu doszedł brzęk upadającego na bruk medalika, a następnie uciekł, pozostawiając po sobie jedynie mgliste wspomnienie.

Rice płakał, podsuwając rozdygotanej Melasie pod nos przednią nogę, na której widniało drobne zadrapanie.

– Patrz, co mi zrobił – zakwilił żałośnie. – Boli!

Melasie z ogromnym trudem udało się nie zejść na zawal.

– Przestań się mazać – mruknęła w końcu nieco drżącym głosem, nie mając pewności, czy mówi do Rice’a czy do siebie.

Zanim chwyciła łkającego podopiecznego za kopytko, podniosła z ziemi zerwany łańcuszek z medalikiem z symbolem słońca i po raz kolejny tego dnia owinęła go sobie wokół ucha.

NAPRAWDĘ musi porozmawiać z babcią.

*

Gdy tylko przekroczyli próg domu, chłopcy poskarżyli się na sytuację z kotem, co oczywiście skończyło się dla Melasy srogą burą. Co ciekawe, matka wraz z ciotką Maliną były na tyle pijane, że nie potrafiły sobie przypomnieć, w jaki sposób odkręca się tubkę z maścią odkażającą („To w końńńcu mam kręcić w praaawo szy w lewo? A jak w lewo, to w które lewo, bo są przecież dwa... prawe i lewe”), ale za to doskonale pamiętały o tym, żeby opieprz był długi, niesprawiedliwy i zawierał masę pogrózek. Melasa puściła jednak całą tę śmieszną gadkę koło uszu. Jedyne, na czym jej zależało, to rozmowa z babcią.

Kiedy więc spostrzegła, że ta udaje się do kuchni, nie zważając na wrogie warknięcia zalanej matki skoczyła za nią i przydybała ją na progu.

– Babciu – zaczęła uroczyście, odruchowo prężąc pierś, jakby była na musztrze – musimy porozmawiać.

Starsza pani spokojnie wytarła kopyta w ścierkę i odwróciła do wnuczki z dobrotliwym uśmiechem.

– Tak, kochanie?

To jedno słowo wypowiedziane ciepłym babcinym głosem sprawiło, że Melasa straciła naraz całą pewność siebie.

– Chodzi o... – wydukała, nie wiedząc, od czego zacząć. Spojrzała w łagodne, wyczekujące oczy babci i przełknęła ślinę. – Chodzi o medalik, który mi dałaś.

Przez chwilę panowała cisza. Babcia przyglądała się Melasie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Klaczka była pewna, że babunia zbiera myśli. Przygotowała się psychicznie na długi monolog na temat tajemnych właściwości magicznego medaliku i nawet ułożyła sobie w głowie z tuzin pytań, którymi zamierzała zasypać starszą klacz.

Tego, co usłyszała, spodziewała się mniej niż śniegu w lipcu.

– Coś ci się musiało pomylić, Melasko. Nigdy nie dawałam ci żadnego medalika.

Dziewczyna zbaraniała. Przez moment obie stały w ciszy, mierząc się wzrokiem.

– Mówię o tym medaliku z łańcuszkiem, który mam na uchu – powiedziała powoli, uznając, że babcia cierpi na demencję i po prostu zapomniała („Czy można zapomnieć o czymś takim?” – przeszło jej przez myśl).

Babcia pokręciła delikatnie głową.

– Przecież ty nie masz na uchu żadnego łańcuszka, głuptasie.

Melase ogarnęła panika, że z babcią naprawdę jest coś nie tak. Sięgnęła desperacko kopytem, by zerwać z ucha biżuterię i pokazać babci, że ma rację, że musi jej wysłuchać, musi wytłumaczyć...

Zamarła z otwartą buzią.

Łańcuszka nie było.

– Widzisz, skarbie? – roześmiała się babunia, głaszcząc ją po głowie. – Nie ma żadnego łańcuszka i żadnego medalika. Tylko ci się wydawało. A teraz chodź do salonu. Zachomikowałam dla ciebie kawałek placka ze śliwkami, żeby te łasuchy wszystkiego nie zjadły. Wiem, że lubisz.

Położyła sobie na grzbiecie tacę z filiżankami i cukiernicą i wyszła z kuchni, nucąc pod nosem jakąś rzewną melodię.

Melasa stała sama na środku niewielkiego pomieszczenia, kompletnie ogłupiała, macając się po uchu, na którym powinien być magiczny naszyjnik.

*

Pomnik lśnił jak zawsze. Pani Cake od śmierci męża dokładała wszelkich starań, by po grobie nie walały się śmieci, znicze paliły się równomiernie, kwiaty przeżyły sztywno w kamiennym wazonie, a zdjęcia nigdy nie pokrywał nawiewający znad drogi pył. Teraz także wszystko było dopięte na ostatni guzik – ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że od pogrzebu minął zaledwie jeden dzień, a nie prawie cały rok.

Pani Cake przycupnęła na ławeczce przed grobem i rozmasowała kopytem bolący grzbiet.

– Ciągle zapominam, że nie jestem już taka młoda – uśmiechnęła się do zdjęcia. – To twoja wina, Carrot. Do ostatnich dni mi wmawiałeś, że jeszcze mogę góry przenosić.

Ławka zaskrzypiała, gdy pani Cake umościła się na niej wygodnie.

– Żebyś ty widział minę Melasy, kiedy mówiła mi o tym medaliku! – Starsza pani zachichotała cichutko. – Naprawdę odebrało jej mowę! Wyglądała na lekko przerażoną... chyba przy tym udawaniu, że o niczym nie wiem, powinnam była wykazać się nieco większą delikatnością.

Cmentarne topole szumiały kojąco, poruszane przez wiatr.

– Sam mi powtarzałeś, że taki skarb nie powinien być trzymany w tajemnicy. Pamiętasz, jak to nazwałeś? Egoizm. A skoro tak, postanowiłam się nim podzielić. Melaska była taka rozgoryczona tym pomysłem z pilnowaniem dzieciaków... To chyba nic złego, że chciałam jej sprawić przyjemność?

Pani Cake wyjęła z torebki medalik na srebrnym łańcuszku, w połowie którego widać było zgrubienie po łączeniu oczek.

– Zerwała go... Mam nadzieję, że nie przeżyła niczego, z czym nie mogłaby sobie poradzić... W sumie to było chyba trochę... nieodpowiedzialne, prawda? Z drugiej strony... powinna wiedzieć, że na tym świecie dzieją się rzeczy niewytłumaczalne. Jest taką racjonalistką, w nic nie wierzy, istne przeciwieństwo mojego syna... a przecież to ta sama

krewni. Wszystko zostaje w rodzinie, nieprawdaż? Ooo, ja już wiem, co ty chcesz powiedzieć! Ja też byłam taką racjonalistką. Kiedy Pinkie przysłała mi z Zebriki tę paczkę z talizmanem od szamanki z plemienia Puku, przez trzy dni nie mogłam dojść do siebie ze śmiechu. Swoją drogą, ciekawe, jak tej naszej Pinkie idzie pisanie książki... Do tej pory nie mogę uwierzyć, że wyjechała z Equestrii tylko po to, by napisać powieść podróżniczą... albo książkę kucharską. Albo przewodnik po Czarnym Łądzie. Już sama nie wiem, za szybko jej się zmienia. Do tej pory nie wyszła poza pierwsze zdanie. Coś o smukłej amazonce galopującej kwitnącymi alejami... Skąd w Zebrice kwitnące aleje? I co wspólnego z przepisami ma amazonka?

Pani Cake wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem w niebo. Wtem zachichotała głośno.

– Wiesz, co było najśmieszniejsze? Że Melasa nie miała pojęcia, w jaki sposób zabrałam jej łańcuszek tak, że się nie zorientowała. A niby jest taka sprytna... Cóż, nie musi wszystkiego wiedzieć... i może dotrze do niej, że nie wszystkie „czarodziejskie sztuczki” zarezerwowane są wyłącznie dla jednorożców.

Westchnęła z uśmiechem, przesuwając się nieco na ławce i spoglądając z czułością na srebrny medalik.

– Według Pinkie, słońce z zakrzywionymi promieniami to u tego plemienia symbol oświecenia. Pozwala widzieć rzeczy, których normalnie, w oceanie codziennej rutyny, nigdy by się nie zauważyło... To znamienne, że nasza księżniczka ma niemal identyczny znaczek... Nie uważasz, Carrot?

Ostrożnie zawiesiła medalik na szyi.

– Jak zwykle masz rację, kochanie.

Cup Cake uśmiechnęła się do siebie promiennie.